

**Dziś w numerze:** ● Łowickie tradycje edukacji ● Książki na sznurku  
● Dwa opowiadania Jana Huszczy ● Aktor istnieje dla widza ● Trudne  
życie bohaterki dramatu ● Felietony ● Recenzje

# odgłosy



46 (576)  
17. XI 1968 r.  
10 stron  
Cena 1 zł

**TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI**



Fot. W. Parys

**JAN KOPROWSKI**

## Pod niebem Krymu

NOTATNIK JAŁTAŃSKI

### 1. W SAMOLOCIE

Z Moskwy do Symferopola polecieliśmy na wysokości osiem tysięcy metrów z szybkością 650 km na godzinę. Dzień jest mroczny. Ciężkie, nisko płynące chmury atakują nas deszczem. Zanim wydamy się z chmur, upłynie kilka minut. Postrzępiona, coraz rzadsza mgła zwiastuje, że najgorsze mamy już za sobą. Jeszcze parę chwil i oślepią nas blask słońca. Nad nami nieskazitelny błękit, pod nami wielkie śniegowe pola obłoków. Wciąż wznosimy się w

górze. Zwały obłoków wyrównują się coraz bardziej, stają się prawie gładkim polem śniegowym, po którym można by spacerować, jechać na sankach lub nartach bez żadnych chyba przeszkód. Felicja podróżuje samolotem po raz pierwszy. Lot znosi znakomicie. Patrzy, obserwuje i jest zupełnie spokojna. Ja lecę już któryś tam raz z koleżką, lecz nie mogę powiedzieć, że jest we mnie uspokojenie. Gdzieś w głębi czai się lęk, osacza mnie i nie opuszcza aż do końca podróży. Tak dzieje się za każdym razem, gdy wchodzę na pokład samolotu. Zaczynają mi się przypominać wszystkie katastrofy, o których czytałem w gazetach, pamięć staje się areną, na której grasują przeróżne niemądre anegdoty. Ot, choćby ta. Stary Żyd wdaje się w rozmowę z pilotem. Oczywiście założenie anegdoty zupełnie nierealistyczne: żaden pasażer nie może prowadzić rozmów z załogą. Ale to przecież tylko anegdota. Więc stary Żyd wdaje się w rozmowę z pilotem. Po co aż cztery śmigła przy tym samolocie, pyta. Cztery śmigła to cztery silniki, odpowiada pilot. Stary Żyd po chwili: a może się zdarzyć, że nagle jakiś silnik się popsuje? Może. Ale pozostają nam jeszcze trzy. A jeśli nawala dwa, co wtedy? Pozostają dwa, lot można kontynuować. A gdy nawala trzy i pozostanie tylko jeden? Jeden też wystarczy, odpowiada pilot ze złością. A co będzie, jeśli i ten ostatni przestanie grać? Niech się pan nie martwi, w powietrzu nie zostaniemy.

Patrzę na zegarek: lecimy już godzinę. Jeszcze pięćdziesiąt minut. W miarę zbliżania się na Krym, białe pole śniegowe zaczyna się rwać, tworzą się góry obłoków, pomiędzy nimi prześwituje ziemia, szara, bezbarwna, ale stopniowo dostrzegamy kępki lasów, rozlewiska rzek, strugi i małe koczki jak pudełka zapalek – domy. Dziury,

przez które widać ziemię, powiększają się. Obłoków coraz mniej. Jeszcze tylko tu i ówdzie małe ulotne dymki. Wreszcie nikną i one. Pod nami odkryta ziemia: żółto-brunatne wzgórza, zgniozłone zagajniki, niebieskawe rzeki. Na chwilę ukaże się rozlewisko zatoki Morza Czarnego, ale szybko zginie i samolot poszybuję w głąb krymskiego ładu – do Symferopola. Gdy schodzimy po stopniach na płytę lotniska, owładła mną wielkie uczucie ulgi.

### 2. JAŁTA I OKOLICE

Zamieszkaliśmy w Domu Twórczości im. A. Czechowa przy Sudejskim Pięciu 5. Z naszego balkonu piękny widok na całą Jałtę. Po prawej Góry Krymskie, na lewo, w dół, port i morze, na wprost serce miasta: domy, wille, cerkwie, ponad które wystylają smukłe cyprysy, przypominające nieco nasze topole. Co roku przebywają w tym domu pisarze polscy. Przed nami byli tu Jan Brzechwa, Włodzimierz Słobodnik, Anatol Stern, Hanna Ożogowska, Józef Lenart. A teraz zastajemy tu Janinę Dziarnowską, która przyjechała wcześniej. Cieszymy się. Będzie do kogo gębe otworzyć. „Stęskniłam się za rozmową w języku polskim” – mówi Dziarnowska. Przy stole posadzono nas razem z rodziną ormiańską z Erewania. Głowa rodziny, Mikaeljan Perujr, jest poetą i tłumaczem z niemieckiego (m. in. przełożył na ormiański „Fausta”), jego żona, Aida, czarna, podobna do Anny Magnani, pracuje jako lektor w radio, a syn, Wachram, studiuje anglistykę. Siedzi z nami również lekarka z

**KONRAD FREJDLICh**

## Gdy krwią Zardzewiały KORONY

To była jesień pamiętna. Na taką jesień trzeba było czekać ponad wiek, przeraźliwie długi wiek niewoli.

Już wojna, w której po raz pierwszy od tylu lat mocarstwa zaborcze wystąpiły przeciwko sobie jako wrogowie, rozbudziła na nowo niepodległościowe nadzieje Polaków. Rosyjski car, ciemiężca wielu narodów, został obalony przez naród i chwiała się trona Habsburgów i Hohenzollernów. Lato 1918 roku, pomimo buńczuczności komunikatów niemieckiego dowództwa, zwiastowało bliski koniec wojny. Państwa centralne, których wojska okupowały etniczne ziemie Polski, znalazły się w poważnych kłopotach. Na froncie zachodnim przejęła już inicjatywę Ententa, na wschodzie zaś prusackim nadziejom zadała śmiertelny cios zwycięska rewolucja rosyjska, powstanie pierwszego w dziejach socjalistycznego państwa.

Pod wpływem Wielkiego Października bolszewizowała się cała Europa. W końcu października 1918 r. zrewoltowani żołnierze zrzucili na bruk Wiednia cesarskie orły i pozbawili tronu Karola I. Wrzenie objęło także armię pruską: ferment przyszedł z Kilonii, gdzie zbuntowali się marynarze i szerzył się po cesarstwie.

Cała Polska żyła nadzieją, nadzieją też żyła w tamtych znamienitych dniach łódzka ulica.

1.

To była właśnie ta jesień, listopad 1918 roku. Łodzią wciąż jeszcze rządził policjant prusacki von Oppen. Z jego inicjatywy prześladowano język polski w szkołach, wysyłano ludzi na przymusowe roboty do Prus Wschodnich, ogalać miasto z ostatnich zasobów. Przemysł już nie funkcjonował, ciężko doświadczona przez okupantów Łódź wyludniała się. Ale podkomendni von Oppena ciągle jeszcze myszkowali, nakładali kontrybucje, dokonywali bezprawnych rekwizycji, grabili.

Pomimo głodu szła przez miasto wielka fala ożywienia politycznego. Wracający z frontu wschodniego żołnierze przynosili ze sobą idee Października. Aktywizowały się stronnictwa polityczne, Rada Miejska i organizacje wojskowe.

Utworzony w Lublinie Rząd Ludowy z Ignacym Daszyńskim na czele, proklamowanie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej stanowiły zapałek prawdziwej już, ogłoszonej z woli narodu, niepodległości. Do Łodzi, wciąż jeszcze okupowanej przez wojska niemieckie, wiadomość ta dotarła z opóźnieniem. Gadzinowa „Godzina Polski”, tuba von Oppena, wybijała w swoim serwisie

Dalszy ciąg na str. 3

Dalszy ciąg na str. 5





W poniedziałek z udziałem ponad 1700 delegatów, licznych zaproszonych gości oraz delegacji partii komunistycznych i robotniczych, rozpoczął obrady w Warszawie V Zjazd PZPR.

W sprawozdaniu Komitetu Centralnego obszerny rozdział poświęcony jest analizie sytuacji międzynarodowej, postępowi socjalizmu w świecie i imperialistycznej ofensywie na różnych kontynentach.

W złożonej sytuacji w międzynarodowym ruchu robotniczym udział delegacji tak licznych partii nadaje Zjazdowi ważną pozakrajową rangę. Tym istotniejszą, że przeciw nasz Zjazd bezpośrednio poprzedza kolejne budapeszteńskie spotkanie przygotowawcze do światowej narady w Moskwie.

Do międzynarodowej problematyki V Zjazdu PZPR powrócimy w przyszłym tygodniu. Dziś natomiast poświęcimy uwagę aktualiom z oceanu. A więc amerykańskie wybory.

\*\*\*

37 prezydentem Stanów Zjednoczonych będzie Richard Nixon. Drugi człowiek amerykańskiej administracji w latach prezydentury Eisenhowera (1952-1960), przeciwnik wyborczy Kennedy'ego z 1960 roku - doczekał się wyboru na fotel szefa państwa. Sukces liczony głosami wyborców prawie żaden - jednak liczony głosami elektorów zaskakująco duży. Nixon nie otrzymał wyraźnego mandatu społeczeństwa, ale na jego korzyść zadziałał system wyborczy.

Choć brzmi to paradoksalnie - drogę do zwycięstwa wyborczego ugotowała Nixonowi... administracja Johnsona. Jej błędna polityka wietnamska przechylała szanse w kierunku Nixona, formalnie nie obciążonego tą wojną. Jego przeciwnik - Humphreys, mimo iż w toku kampanii wyborczej próbował odzyskiwać się od wietnamskiej polityki Białego Domu, wyborcy zapamiętali jako rzeźnika wojny. Społeczeństwo amerykańskie nie zapomniało przecież, że Eisenhower, Kennedy i Johnson dla eskalacji działań interwencyjnych mieli zawsze zapewnione poparcie Humphreya.

To zdecydowało. Decyzja Johnsona o przerwaniu bombardowań DRW przysłała w odsiecz obecnemu wiceprezydentowi zbyt późno, aby mogła zmienić sytuację.

Nixon w sprawie Wietnamu nie jest bynajmniej elastyczniejszy. Umiejętnie jednak dyskutował niezadowolone społeczeństwo z przebiegiem wojny.

Tuż przed 5 listopada oświadczył, że jeśli w ciągu ostatnich dni, jakie upłynęły od przerwania bombardowań, nadzieje na pokój w Wietnamie uległy zmniejszeniu - to dlatego, iż Johnson powierzył rokowania „staremu zespołowi dyplomatów”. Są oni zmęczeni i popielają błędy. - Gdybym ja został prezydentem - zareklamował się Nixon - a wojna nie skończyłaby się do stycznia, powołaliby nową ekipę w celu osiągnięcia pokoju. Skarcił również przywódców sągajskich za odmowę użycia udziału w rozmowach paryskich, dając jednocześnie do zrozumienia, że rokowania mogą się toczyć i bez nich.

Oto przykłady wygłoszenia przez Nixona, dziś już prezydenta-elektę, niepowodzeń dotychczasowej administracji.

Kwestia wietnamska - znużenie wojną i niewiara w umiejętności demokratycznej administracji jej zakończenia - to niewątpliwie najważniejszy z elementów przegranej Humphreya, a więc zwycięstwa Nixona.

Lecz nie tylko. Niezadowolone społeczeństwo wymyka i z dezintegracji NATO, i katastrofального spadku prestiżu USA, i komplikacji wewnętrznych: konfliktów rasowych, wzrostu przestępczości, podwyżki cen...

Czy na te wszystkie dolegliwości współczesnej Ameryki lekarstwem ma być Nixon? Absolutnie nie. W swej dotychczasowej karierze politycznej nie zabłysnął niczym, co wyznaczałoby mu taką rolę. Cześć wyborców postanowiła jednak zaryzykować, zawierzyła, że Nixon 1968 roku jest inny niż przed laty oraz że potrafi wyciągnąć wnioski z niepowodzeń Johnsona i jego ekipy. Nawoływanie do zmiany istniejącego stanu rzeczy stało się jego atutem.

Desygnowany przez swą partię po katastrofalnej porażce tandemu republikańskiego sprzed 4 lat z Goldwaterem na czele, zwycięzca z 5 listopada - Nixon będzie sprawował prezydencki urząd od stycznia. Być może Johnson, któremu ostatnio bardzo zależy na dobrym jego zapisie w historii, postawi swego następcę wobec kilku ważnych faktów dokonanych, a zwłaszcza zaawansowanych rozmów w sprawie przyniesienia pokoju w Wietnamie. Narzuciłoby to w pewnym sensie kierunek działania ekipie rządowej, jaką sformuje Nixon.

Będzie ona działała w szczególnych warunkach - utrzymania większości przez partię demokratyczną w nowo wybranej Izbie Reprezentantów (wybrano na wszystkie 435 miejsc) i Senacie (gdzie odnowiono trzecią część składu). Nie jest to dla prezydenta - republikanina okoliczność sprzyjająca.

Trzeba wreszcie podkreślić jeszcze jedno zjawisko - George Wallace uzyskał 9 mln głosów. Tak więc 14 proc. wyborców głosowało za rasistą. Wskażuje to na niepokojące przesunięcie się na prawo części amerykańskiego społeczeństwa i wzrost sił faszyzującej prąicy. Prasa amerykańska próbuje pomniejszyć znaczenie tego faktu, wyjaśniając, że Wallace otrzymał mniej głosów niż oczekiwał i że nie udało mu się spowodować wyborczego impasu. Czy może to jednak podważyć wymowę 9 mln głosów oddanych za reprezentantem faszyzujących sił?

W. SŁAWSKI

JERZY WILMAŃSKI

## Łowickie tradycje edukacji

Na stacji Łowicz Główny wysiadłem na niewłaściwą stronę. Wyszędłem zatem na prawo, jak 16 lat temu, a wówczas równie była jesień, chłodna już i deszczowa... Miałem tekturową walizkę i 16 lat - pytałem przechodniów o ulicę Podrzeczną, gdyż tam mieściło się liceum do którego skierował mnie przy padku. Ulicę znalazłem bez trudu, zaraz za rynkiem trzeba przejść obok kolegiaty i ratusza, potem jest wysoka wieża strażacka i zaraz obok ta czynszowa kamienica, w której mieści się szkoła...

Teraz stoję na przejeździe przed opuszczonym szlabanem. Jak tani reporterski chwyt, zjawia się obok dziewczyna sprzed 16/lat, ale mnie nie poznaje - kto wie zresztą, może to młodsza siostra tamtej... Idę ta sama co przed laty trasą obok ratusza, choć wiem, że tej mojej szkoły dawno już nie ma w czynszowej kamienicy, że zbudowano dla niej ogromny biały gmach.

Ale w końcu nieważne są moje wspomnienia i sentymenty sprzed lat szesnastu, przyjechałem tu szukać nie tamtej jesieni, nie dziewczęcej z tamtych lat... Dziś dla mnie ważniejsze jest to co pisze Adam Benedykt Jocher, że w 1433 istniała w Łowiczu szkoła parafialna, kolegiacka, na której utrzymanie arcybiskup Wojciech Jastrzębiec przeznaczył dziesięcinę ze wsi Zabostwa Wielkie. Dziś dla mnie ważniejsze jest to że od 1668 roku Łowicz miał szkołę pijarów, że właśnie minęło 300 lat łowickich tradycji oświatowych i pedagogicznych... Nigdy nie przewoższczałem, że przewodek rzucił mnie do szkoły za którą taki багаż tradycji.

A zaczęło się od Collegium Scholasticum Piarum księdza Wojciecha Siewierkiewicza, pierwszego rektora łowickiej szkoły. Niemalże szkołarów pobierało tu naukę - w roku 1684 naliczono ich ponad pięćset - więcej niż liczy dzisiejsze Liceum. „Szkoła łowicka - pisze dr Jan Wegner - o pełnym zestawie klas, była bezpłatna i w zasadzie dostępna dla wszystkich”. Wykładano tu składnie i stylistykę, uczono układać mowy (także by się to dzisiaj przydało), uczono pisać panegiriki (no, to raczej umiemy) oraz wiersze łacińskie.

Kiedy 16 lat temu jako uczeń łowickiego liceum debutowałem na scenie w jednoaktówce Bratnego „Prze ciw krzywdzie” nie miałem pojęcia, że i za tą szkolną działalnością dramatyczną ciągnie się szmat tradycji.

W Bibliotece Krasniskich w Warszawie jeszcze do Powstańca - zanim pochłonię go ogień - przechowywano teatralne afisze szkolnych pijarskich przedstawień z lat 1671-1731. Afisze tzw. synopsy pełne były barokowego patosu i alegorii, głosiły urbi et orbi, że „representans per Illustrēm Magnificam literariam Juventutem Collegij Loviciensis”. Wystawiono sztuki - jak podaje dr Wegner - „będące połączeniem nabożności katolickiej z mitologią pogańską”. Połączeniem czego była jednoaktówka Bratnego dziś już nie pomnę.

Potem szkoła przeszła - jak to się obecnie mówi - pod zarząd Komisji Edukacji Narodowej - przeprowadzono reformę, wprowadzono system nauczania i wychowania w duchu Oświecenia i tolerancji. Język polski zdobył sobie w programie szkolnym formalne prawo obywatelstwa - uczono też francuskiego i niemieckiego.

W tym to czasie zjechał do Łowicza wizytator dr B. Garvcki, który w raporcie zanotował, że zgodnie z ustawa Komisji Edukacji Narodowej „w czasie rekreacji uczniowie grają w piłkę i odbywa się musztra”. Do wizytatorów zresztą łowicka Szkoła miała szczęście - dzięki temu zresztą, dzięki zachowanemu raportom tak wiele dziś o niej wiemy. A wracając do współczesności okazuje się, że i zaczęte mecze koszykowi między drużynami „Pelikana” i „Olimpij” mają swoją blisko dwu stuletnią tradycję.

W roku 1833 kończy się w jaski okrog - władze carskie po upadku Powstania Listopadowego zupełnie usunęły pijarów od kształcenia młodzieży. Sto parę lat temu otrzymuje nazwę szkoły Powiatowej Ogólnej skąd już - w nazewnictwie przynajmniej - blisko do dzisiejszej nazwy Liceum Ogólnokształcące. Ale zanim to nastąpi w kalejdoskopie historii zmieniać się będą nazwy, choć tradycje pozostaną wciąż te same.

A więc kolejno. W roku 1868 - Progimnazjum Realne w parę lat później - rosyjską Szkoła Realna. W tym właśnie czasie „pobierał tu nauki” - jak to wówczas mówiono - Stanisław Noakowski - wybitny profesor Politechniki Warszawskiej, świetny artysta, którego rysunki wisza dziś na korytarzach nowej, białej szkoły. Stefan Starzyński - bohaterski prezydent Warszawy z września 1939. A jeszcze wcześniej uczniem Szkoły Ogólnej był Józef Chełmoński. Jego wspaniałe obrazy wisza dziś na ścianach muzeum w gmachu po-

msjonarskim w tym samym skrzydle gdzie kiedyś młody Chełmoński śleczął nad łacińską gramatyką.

Ale i nauczyciele wykładali tu nie byle jacy. Choćby Jadwiga Kraheńska czy Marian Falski późniejszy autor Elementarza, z którego dzieł ucza się do dziś.

Czytam pięćdziesięcioparostronicową broszurkę pod tytułem „Księga pamiątkowa Koła Wychowanków i Wychowanków szkół średnich ogólnokształcących w Łowiczu” i ogarnia mnie zdumienie. Skromna książeczka uświetnia 300 lat łowickich tradycji oświatowych i pedagogicznych - 300 lat, ewenement na skalę Europy a Polski na pewno... W kraju gdzie Uniwersytety święcą z pompą i przytupem swoje dwudziestolecia, w kraju gdzie półwiecze jest już rocznicą nader rzadką w działalności szkoły czy uczelni - nikt nie pomógł Łowiczowi, aby swoje niecodzienne święto, swój jubileusz, jedynie bodaj w Polsce tego rodzaju, mógł upamiętnić w sposób godniejszy, bogatszy.

A przecież za kartonowymi okładkami tej skromnej księgi pamiątkowej kryją się treści, historia i tradycje, które z uwagi na swój wymiar i skalę przestają być tylko „łowickie”, a są w całym tego słowa znaczeniu polskie, narodowe. Nie sposób przytoczyć wszystkiego z rozprawki dr Jana Wegnera, ale przecież o tę szkołę (czy raczej te szkoły na przestrzeni dzieł) otarli się jako wykładowcy, uczniowie czy wizytatorzy ludzie o nazwiskach dźwięczących historia. Rektorem był tu Kłuzyski - wydawca pism „Kuźnicy” i „Kółka”, Kollatajowski, wizytowali szkołę m. in. Onufry Kopczyński - autor pierwszej polskiej gramatyki, Fryderyk

Bacciarelli (syn znakomitego malarza) - sekretarz króla Stanisława Augusta, nie mówiąc już o wspomnianych wychowankach - Chełmońskim, Noakowskim, Starzyńskim... A jeszcze wcześniej wychowankowie pijarskiej szkoły bywali i profesorami Akademii Krakowskiej, medykami królów, autorami prac przyrodniczych, lekarskich, poetyckich, filozoficznych i teologicznych.

Ale stało się. Niecodzienna rocznica przeszła bez echa jeśli nie liczyć skromnej „papowskiej” notki. Ustanowiony niedawno Medal Komisji Edukacji Narodowej nadawany przez Radę Państwa za wybitne zasługi na polu szkolnictwa i oświaty nie ozdobił łowickiego liceum. Zabrania tego regulamin mówiący, że Medal nadaje się tylko osobom fizycznym - nie może go więc otrzymać szkoła, nawet jeśli stanowi polski ewenement. Ale kto wie? Sam minister Jabłoński jest zdania, że szkoła może się to wysokie odznaczenie i może warto pomysleć o poprawie w regulaminie.

Towarzyszę z wysokich stołecznych pięt! Daje ten Medal szkole, za którą 300-letni szmat oświatowych tradycji.

Z ostatniego piętra nowego, białego gmachu Liceum przy ul. Brudki widać w dali rosnące masywy hal produkcyjnych „Syntexu” - teraźniejszość wypiera pamięć o tamtych 300 latach. Ale jednak pamiętać trzeba, bo to niemają i nie najgorszy kawałek narodowej historii. A żelbetowe fundamenty „Syntexu” wyrastają z tej samej łowickiej ziemi, z tej samej tradycji i patronują im te same dostojne pelikany z mawiockich łowickich zdobię herb Łowicza.



Krystyna Bieniek. Sygnalizacja.

ZBIGNIEW KOSIŃSKI

## Współczesna sztuka w Zgierzu

Podziwiając muzea Warszawy, Łodzi i Krakowa, podziwiając wielkość historyczną sztuki polskiej - nie powinniśmy zapominać, że jest ona różnorodna i że nie można jej poznać póki nie pozna się prowincji, z których ta sztuka składa się i wywodzi. Jesteśmy w Zgierzu na wystawie twórców, pochodzących z tego miasta lub tutaj mieszkających. Miasto zbyt małe, aby istniały szkoły malarskie - wystarczająco duże, aby znaleźć parę znakomitych talentów.

Chciałbym dokonać prezentacji w najprostszej formie, czyli podać beznamietny spis nazwisk uczestników imprezy plastycznej, zorganizowanej z okazji 650-lecia Zgierza.

Są to Leszek Różga i Mieczysław Szadkowski - dwaj najwięksi autorzy wystawy - o których można by powiedzieć, że są poza wszelką dyskusją, a tym samym poza sporami estetycznymi.

Na wystawie tej spotykamy także świetnych rzemieślników, Jerzy Wierczok; prosta i surowa kompozycja, dająca nam odczuć analogię, istniejącą między obrazem a swoim miastem.

Krystyna Liberska posuwa się jeszcze dalej niż Wierczok - wyrzucenie się uroków malarstwa, świadomie notuje przemijające znaki, gesty, zjawienia. Tylko tyle - by wywołać u odbiorcy niepokój.

Gabriela Nawrot mogłaby być kronikarzem jakiejś nieznannej nam epoki lub też w malarstwie swoim stworzyć - jakby z piasku - prowokować przyszłe dzieje świata, a raczej jego kłeski.

Twórczość Andrzeja Nawrota jest bliska nadrealizmowi. Jest twórcą świadomie nieujawnianej energii. Obrazy jego są nie tylko obrazami, są także aktami brutalności. Dla Andrzeja Nawrota świat, w którym żyje - w którym my żyjemy - to koszmar. Trzeba rozwalić, rozzerwać konwencjonalne granice takiego losu. Czyli odrzucić nadmierną literacką elokwencję i przeciwstawić jej swoisty humor. Chciałbym jeszcze dodać, że nadrealność - do której dąży Andrzej Nawrot - jest bliska twórczości graficznej Leszka Różgi, w pewnym tylko sen-

sie, bowiem widzę ją o wiele ambitniejszą.

A pozostali - Jadwiga Szmidt tworzy obrazy, które są masą malarską zredukowaną do omotatopeli: czyli forma autonomiczna wywołana z potocznej treści, będąca zwyżczoną dowolną kombinacją elementów malarskich.

Takim samym jest Antoni Wirhanowicz, który - w formie poprawnie klasycznej - przechodzi kolejno od jednego przedmiotu swojego miasta do następnego. W sumie jest to antylirizm, który twierdzi, że twórca niekoniecznie musi zmieniać rodzaj wypowiedzi plastycznej.

Wreszcie, by nikogo nie pominać jedno zdanie o Jerzym Sowińskim. Stał się on na tej wystawie jedynym głosem sztuki stosowanej. Bez wysiłku, bez tendencji dydaktycznych, poprzez projekty okładek nawiązał do dobrej tradycji polskiego plakatu.

Również do dobrej tradycji ale okresu międzywojennego nawiązał w swoich dwóch plótnach Kazimierz Naryniecki. Jaka jest wartość tej informacji? Czyżby indeks nazwisk? Nie. Chciałem, by przy okazji wystawy w Zgierzu podać nazwiska w niej uczestniczące. Chciałem także, aby wystawa ta mogła uformować się jako idea polityczno-artystyczna.



# Pod niebem Krymu

Dalszy ciąg ze str. 1

Mińska, ale jest małowódna i zaraz po zjedzeniu posiłku – wychodzi. Zaprzyjaźniliśmy się z Ormianami. Gdy brak mi słów rosyjskich, mówię do Perujra po niemiecku; językiem tym włada on nienagannie. Dzięki nim, którzy nie są tu po raz pierwszy, i dzięki Dziarnowskiej, która przebywa tu już dwa tygodnie, poznajemy Jaltę i szybko zdobywamy orientację w terenie. Najpierw spotkanie z Morzem Czarnym. Radość i zawód jednocześnie. Woda ciepła, pełna jodu, bromu i wapna (nie ma porównania z naszym zimnym i kapryśnym Bałtykiem), ale brzeg kamienisty, ani śladu piasku, a i dno usłane kamieniami, drobnymi wprawdzie, lecz kamieniami. (Pod tym względem Bałtyk ze swoim złotym piaskiem góruje zdecydowanie nad Morzem Czarnym). Pas plaży wąski, ludzi gęsto, po prostu nie ma gdzie pałać wetknąć. Kapiemy się rano, w południe i przed wieczorem. Klimat w tym roku łaskawy. Choć to sam środek lata, upały znośne, temperatura powietrza do 30, a ciepłota wody nieco powyżej 20 stopni. Po kąpieli długie spacerunki po bulwarze nabrzeżnym. Przypominają mi się słowa Stendhala: „To, co najbardziej lubię obserwować w każdym mieście, to są ludzie”. Przeglądam się im, ludziom. Kobiety ubrane kolorowo, młode dziewczęta w mini-spódniczkach, mężczyźni z reguły w ciemnych garniturach. Pstrokacizna męskich strojów wnoszą jedynie grupki cudzoziemców: Anglicy, Francuzi, Niemcy, a i nasi panowie znajdują większe upodobanie do kolorów, niż Rosjanie, Ukraińcy i przybysze z innych republik radzieckich. Mój sąsiad od stołu, Mikaeljan Perujr, ubiera się na czarno, widać, że innych kolorów w strojach męskich nie uznaje.

W jednym z kiosków nabrzeżnych znajdujemy polskie gazety: „Życie Warszawy”, „Trybuna Ludu”, „Świat”, „Szpilki” i jeszcze pare innych. Odąd będziemy je kupować stale. Ktoregoś dnia staje się świadkiem niezrozumiałej dla mnie sceny. Do kiosku nadeszła paczka „Ekranu”, było tego z pewnością ze dwieście sztuk, może nawet więcej. Rychło ustawiła się kolejka, ludzie, zwłaszcza młodzi (ale nie tylko oni) nabywali po dwa numery polskiego tygodnika. W ciągu pół godziny poszły wszystkie egzemplarze. Nie mogłem się dość nadziwić. Coż w tym „Ekranie” ludzie widzą, jakie znajdują w nim rewelacje? Postanowiłem po powrocie do kraju czytać regularnie „Ekran”, żeby nie być jak tabaka w rogu. W ogóle można tu zaobserwować coś w rodzaju „mody na Polskę”. Na przykład w kinach idzie wiele naszych filmów. Sam widziałem „Lekarstwo na miłość”, „Żona dla Australijczyka”, „Stajnie na Salvatore”, „Panienkę z okienka”, „Zbrodniarza i pannę”, których nie zdołałem obejrzeć w Polsce.

Obszar Wielkiej Jalty obejmuje miejscowości, do których można dojechać statkami, kursującymi bardzo często wzdłuż wybrzeża, lub autem po dobrych górskich drogach, a także pieszo, jeśli kto ma ochotę na dłuższą wędrowanie. Oczywiście wybieramy komunikację morską. Gurzuf, Nikita (gdzie znajduje się wspaniały Ogród Botaniczny), Artek ze słynnym międzynarodowym obozem pionierów (jest w nim i miłośnik polski), Złota Plaża, Alupka, Jaskółcze Gniazdo czyli przepięknie położony zamek na wylomie skalnym, skąd przy słonecznej pogodzie niezapomniany widok na bezmiernie przestrzenie Morza Czarnego – oto cele naszych ciałych wypadów. Zaczynamy od Liwadii. Tutaj w dniach od 4 do 11 lutego 1945 roku odbywała się konferencja, zwana później Jaltańska, w której uczestniczyli Stalin, Roosevelt i Churchill. Spieszymy zobaczyć ów historyczny pałac. Niestety, do środka wejść nie można, pałac zamieniono na dom wczasowy. Zglądam przez okna. W dawnej sali konferencyjnej jadalnia, a pokoje, w których mieszkał Roosevelt z doradcami, służą dziś za pomieszczenia dla wczasowiczów. Jedyny ślad, że odbywała się tutaj słynna konferencja, stanowią napisy na dwu zewnętrznych ścianach pałacu, upamiętniające to wydarzenie. No i przewodnik, który w pewnej chwili powiada do zwiedzających: „Na tej laweczce fotografowali się trzej mężowie stanu, sfotografujmy się i my – nie jesteśmy od nich gorsi!”. Otoczenie pałacu bardzo ładne: kwietniki, dużo drzew, wśród nich dwa ogromne i mocno rozgałęzione platany (siedzieliśmy w ich cieniu na laweczce), dobrze utrzymane alejki i przejścia. Delegację amerykańską umieszczono w liwadyjskim pałacu konferencyjnym ze względu na zdrowie Roosevelta (jak wiado-

mo, poruszał się on na wózku), natomiast przedstawiciele ZSRR mieszkali w samej Jaltie, a Brytyjczyków z Churchilllem na czele ulokowano w Alupce w pałacu hr. Woroncowa. Nieprzypadkowo, Michał Siemionowicz Woronow general-gubernator Noworosji, wybudował ten pałac w stylu angielskiej architektury szesnastowiecznej. Na całkowite wybudowanie pałacu i urządzenie otoczenia potrzeba było dwadzieścia lat (1828–1848). Churchill, zamieszkałszy w nim, powiedział: „Czuje się tu jak u siebie w Anglii”. Pałac, wzniesiony na wzgórzu z urzekającym widokiem na morze, robi duże wrażenie. Jest to właściwie muzeum pięknych stylowych mebli, obrazów, rzeźb i roślin. Ale nas, przybyszów z Polski, interesują przede wszystkim polonica. Jakżeby inaczej! W głównej sali portrety teściów Woroncowa: Franciszka Ksawerego Braniciego i jego żony, z domu Engelhardt, krewniej Potiomkina, a na innej ze ścian pani Woroncowa czyli córka wyżej wspomnianych Branicich. Autorami portretów, malarsko bardzo udanych, są Anglik i Austriak. W historii naszej ów Branicicki nie zapisał się złotymi gloskami. Był ugodo-

der Gribojedow i wielki poeta polski Adam Mickiewicz. Przeczytajcie koniecznie jego dwa przepiękne sonety „Alusztą w dzień” i „Alusztą w noc”. W przewodniku po Baczysaraju wspomina się nie tylko o pobycie Mickiewicza, ale cytuje się również fragmenty jego wierszy, miejscem tym poświęcone. (Nie mogę nie wspomnieć tutaj, dla porównania, o wydanym na Białorusi albumie o ziemi Mickiewicza – Nowogródzynie. Owszem, album piękny, dwujęzyczny (po białorusku, i polsku), ale wstęp tak jakoś napisany, że nie wiadomo właściwie, jakiej narodowości był Mickiewicz: Polak, Białorusin czy może jeszcze ktoś inny. Autorzy wstępu do albumu mają w tej materii, jak widać, wątpliwości do dziś).

Podróż śladami Mickiewicza wypadnie rozpocząć od najbliższej położonej Gurzufu, gdzie gościł poetę (i nocleg mu zaofiarował) konspirator i rymotwórca, hr. Gustaw Olizar, po powstaniu dekabrystów aresztowany i osadzony w twierdzy. W pięknym i obszernym parku gurzufskim

potomstwem. Fontanna przedstawia ponadto cztery głowy owej brzydkiej siostry, z której ust wylewają się strumyki wody.

Stąd też, z Gurzufu, widać jak na dłoni Aju-dah („Lubię poglądać wsparty na Judahu skałę”), zwany po rosyjsku Wielkim Niedźwiedziem. Istotnie, gdy się przyjrzy górze, ma ona kształt niedźwiedzia, który pyskiem pije wodę morską. I z tą górą wiąże się bardzo wzruszająca opowieść. Oto ze szczytu Aju-dahu wpadła ongi do Morza Czarnego mała, nie umiająca pływać dziewczynka. Chcąc ją ratować, góra-Niedźwiedź poczęła gwałtownie pić wodę, aby, wyczerpawszy ją do dna, ocalić dziewczynkę. I tak pije tę wodę do dziś i wypić nie może.

Znacznie dalej, z Gurzufem, w kierunku żeglugi na Feodosję, leży Alusztą. Wyprawa do Alusztą zabiera cały dzień. Mickiewicz poświęcił jej aż dwa sonety, a w przypisach do nich podaje: „Jedno z miejsc najrozkoszniejszych Krymu; tam już wiatry północne nigdy nie dochodzą i podróży w listopadzie szuka częstokroć chłodu pod cieniem ogromnych orzechów włoskich, jeszcze zielonych.” Nie mogliśmy podzielić zachwyty poety nad Alusztą. Wydaje się, że ustępuje ona Gurzufowi i innym miejscowościom Krymu zarówno pod względem malowniczości położenia jak i bogactwa roślinności. Zwierzaliśmy się z naszych wątpliwości Wiktorowi Szklowskiemu. Powiedział: „Alusztą dzisiejsza niepodobna jest do Alusztą z czasów Mickiewicza. Nie wszędzie nowe budownictwo wyszło starym miejscowościom na lepsze. Pewne miejsca należałoby zachować w ich pierwotnym stanie, na przykład taką Alusztą.” Ale z Alusztą prosta droga na Czatyrdah, królujący nad całą okolicą. Może patrząc ze wzgórza Czatyrdahu zachwycił się Mickiewicz Alusztą, która nie wygląda tak ponętnie od strony morza.

Wszelako największe wrażenie wywołuje droga do Baczysaraju, wijąca się niebezpiecznymi serpentynami. No i naturalnie sam Baczysaraj. Do Aj-Petri, najwyższego szczytu Gór Krymskich, jechaliśmy z duszą na ramieniu. Droga trudna choć piękna, odcinkami wiodąca nad przepaścią, nawet najlepszy kierowca musi tutaj zmobilizować wszystkie swoje umiejętności i skoncentrować całą swoją uwagę. Baczysaraj leży w dolinie, wśród skalnych, które przy wielkiej słonecznej pogodzie, jaka w czasie naszych odwiedzin panowała, robią wrażenie widmowe. Zanim pojedziemy do starego pałacu chanów krymskich, trzeba obejrzeć wprzód Uspieński Monaster czyli wykuta w skałe świątynia, w której mniszki pedzili żywot, z dala od ludzkich oczu. Teraz zaglądała tutaj ciekawki wszystkiego turyści, fotografują się, słuchają objaśnień, sporządzają notatki. Dalej, na znacznej wysokości, tzw. martwe miasto, zamieszkałe niegdyś przez Tatarów. Wykute w skałach mieszkania, koleiny dróg, ślady odległego, na polu jaskiniowego życia w niedostępnych dzielnikach górach. Spieszny turysta, zatrzymując się i podumując o ludziach, których nie ma, i sprawach dawno przeminionych.

Polakowi, zwiedzającemu pałac baczysarajski, przeróżne nasuwają się refleksje. Oto wielkie malowidło na ścianie przedstawiające bitwę pod Korsunem. Bohdan Chmielnicki na koniu jako zwycięzca a obok na tle żołnierskiego tłumy Potocki i Kalinowski – pobici i skonsternowani. Myśle, że podobnych uczuć jak ja tutaj, doznaje Rosjanin, oglądając obraz Matejki „Batory pod Pskowem”. W jednej z gablot znajdują się kunsztowne szaty z koronkami, zrobione przez polskie dziewczęta, nie wiem tylko, czy były tu one słusami, czy nadeszły swoje dary z innych, dalekich stron.

Nade wszystko jednak grób Marii Potockiej, uwieczniony w „Sonetach Krymskich”. Mickiewicz wierzył świecie, że była ona niewolnicą chana Kerim-Girafa i wiódł go na ten temat z Iwanem Murawiewem-Apostolem, który w „Podróży po Krymie” nodał w wątpliwość historię o porwanej Potockiej, przehwyla się natomiast do kraczkiej wieści ominnej, że spoczywa tam Gruzinka czy, jak chce inni, Angielka. Ale znowuż Puszkin w „Fontannie baczysarajskiej” podtrzymał tę samą wersję, co Mickiewicz, więc trzeba by dać wiarę Mickiewiczowi. Po przedwczesnej śmierci, śniaczej z tenknoty za krajem Marii Potockiej, chan Kerim-Giraf wybudował w pobliżu pałacu notekny grobowiec i kazał ją tam pochować. Gdy w drugiej połowie wieku dziewiętnastego rozkopano grób, aby stwierdzić, kto w nim pochowany: Polka, Gruzinka czy też Angielka, grób okazał się pusty. Istnieje domniemanie, że zwłoki niewolnicy chana wykradziono potajemnie i wywieziono w nieznanym kierunku. Tak czy inaczej zagadka nie zostanie rozwiązana i nie dowiemy się już nigdy, czy była to istotnie młodzultka i piękna Maria Potocka. Ale pozostał o niej wiersz poety z ową chwy tającą za serce strofą:

Tam na północ ku Polsce świecą gwiazdy gromady.

Dlaczegoż na tej drodze błyszczy się ich tyle?

Czy wzrok twój ognia pełen, nim zgasnął w mogile,

Tam wiecznie leżą jasne pozapalał ślady?

JAN KOPROWSKI

str. 3

## NOTATNIK JALTAŃSKI



cem, żeby nie powiedzieć: sprzedawczykiem, i nie dziwne, że w okresie insurekcji Kościuszkowskiej został skazany zaocznie na powieszenie. Ale mu się upiekło jako że przebywał wówczas w Rosji. Nigdy też do kraju nie powrócił, zmarł w Białej Cerkwi, mając 89 lat.

### 3. NA ŚLADACH MICKIEWICZA

Jadąc na Krym nie mogliśmy nie wziąć ze sobą „Sonetów Krymskich”. Ta mała książeczka (wydanie Ossolineum) towarzyszyła nam wszędzie, czytaliśmy utwory w niej zawarte, porównując nasze wrażenia z wrażeniami wędrującego ślakiem krymskim w 1825 roku Adama Mickiewicza. Autor przyszedł „Pana Tadeusza” nie podróżował sam, towarzyszył mu: wielka piękność Karolina Sobanska z mężem, jej brat, hr. Henryk Rzewuski, generał rosyjski hr. Witt oraz entomolog Bosznik. Mickiewicz, jak każdy chyba poeta, był człowiekiem naiwnym i nie podejrzewał nawet, że idealizowana przez niego Karolina jest kochanką hr. Witta i zarazem jego agentką. Zdenuncjowała wielu Polaków, nawet swoich krewnych. Agentami carskimi byli również hr. Witt i tajemniczy entomolog Bosznik. Ale nas mniej obchodzi historia, a bardziej miejsca, w których Mickiewicz bywał i utwory, które o nich napisał. Ubrojenie w przewodniki rosyjskie bądź ukraińskie (Krym wchodził w skład Republiki Ukrainy) dzień po dniu docieramy do miejsc Mickiewiczowskich. W żadnym z przewodników po Krymie nie pominięto naszego wieszca. W „Na drogach Krymu” autor pisze: „W Alusztzie przebywali Aleksan-

obok pomników Czechowa, Lesi Ukrainki, Gorkiego, Szalapina i Majakowskiego, znajduje się również pomnik Mickiewicza, któremu przewodnicy, oprowadzający wycieczki, poświęcają z reguły sporo uwagi. Wcale się nie zdziwiliśmy, że Mickiewiczowi bardzo się tutaj podobało. Z pewnością zachwylił go liczne fontanny, a zwłaszcza jedna z nich, przedstawiająca piękna Rachelę z dzbankiem wody na ramieniu, o której istnieje wiele frapująca legenda. Zauważmy ją. Pewnego razu wędrowiec strudzony ujrzał w jednej z uliczek Gurzufu dziewczynę przedcudnej urody, niosącą wodę ze studni. Podszedł do niej, by pozwoliła mu ugasić pragnienie, Cezarowina jej pięknością zachochał się w dziewczynę i od pierwszego wejrzenia i udał się natychmiast do rodziców, aby prosić o jej rękę. Ojciec odpowiedział, że owszem zgadza się, ale wędrowiec musi sobie na to zasłużyć. I wyznaczył mu siedem lat pracy. Po upływie tego czasu odbyły się zaślubiny. Lecz kiedy małżonkowie weszli do alkowy i panna młoda zdjęła z twarzy zasłonę, okazało się, że jest to starsza siostra wybranej, na domiar bardzo brzydka. Wędrowiec poszedł do ojca i zażądał młodszej siostry, która był sobie urodobną. Ponieważ zwyczaj nakazywał, aby pierwszą wydać za mąż najstarszą córkę, ojciec dopiero po długich naleganiach zgodził się na prośbę wędrowca, ale pod warunkiem, że przeprowadzi on dalszych lat siedem, nim swoją ukochaną dostanie za żonę. Uczynił zadość życzeniu ojca i tak upłynęły długie dla niego lata. A gdy się wreszcie pobrali, żył, jak na legendę przystało, szczęśliwie, obdarowany licznym



# „FILMOS” i SZKOŁY

„Filmos” jest instytucją, której obowiązkiem podstawowym jest rozpowszechnianie filmów krótkometrażowych we wszystkich możliwych ich odmianach a więc: dokumentalnych, popularno-naukowych, szkolnych, instruktażowych, a także pewnych krótkich fabul. Przy tak szerokim wachlarzu repertuarowym oczekiwać by można równie szerokiego wachlarza kontrahentów. Teoretycznie jest tak zresztą na pewno. Szkoły, świetlice, domy kultury, komitety partyjne, zakłady pracy, jednostki wojskowe, kółka rolnicze to potencjalni odbiorcy filmów ze znakiem „Filmosu”. Nie trudno jednakże domyślić się, iż szkoły są tymi odbiorcami, którym najtrudniej byłoby żyć bez filmu.

Przy obecnej liczbie 4 tysięcy stałych tytułów filmowych pozostających do dyspozycji odbiorcy, przy liczbie 1.500 aparatów projekcyjnych, zarejestrowanych w naszym województwie dziwi cokolwiek to, iż zaledwie 20 proc. tych aparatów przypada na placówki pozaszkolne. Dzisiejsza cena aparatu projekcyjnego, która wynosi 8.000 zł dla większości instytucji nie wydaje się być przeszkodą. Przeszkoda może być głównie brak inicjatywy bądź zrozumienia, iż film pełni znakomitą funkcję propagandową, dydaktyczną, wychowawczą czy po prostu instruktażową.

Patrząc na aktualną mapę stanu posiadania aparatów projekcyjnych, nie dziwnym się nie wydaje, iż „Filmos” największe wysiłki wkłada właśnie w usprawnienie współpracy ze szkołami. I na tym przykładzie pragniemy rozpatrzyć problem.

Nikt wśród władz oświatowych i wśród nauczycieli praktyków nie kwestionuje dziś znaczenia pracy z filmem w procesie dydaktyczno-wychowawczym, nie wszędzie jednakże zdołano ogarnąć całokształt spraw z tym związanych.

Setki aparatów projekcyjnych pozostających do dyspozycji szkół, to jak wiemy aparaty o dość precyzyjnej technice, a więc łatwo niszczone. Jak to się stało, że przez kilkanaście lat nie pomysłano o sprawach konserwacji tego sprzętu? Nie zatrudniono ludzi, którzy przedłużiliby życie tych aparatów?

Ostatni rok przyniósł pewne zmiany. Kuratorium woj. łódzkiego zatrudniło na terenie powiatów 7 konserwatorów, znaleziono dla nich etaty, uznano, iż najprostszą finansową kalkulacją przemawia za sensownością ich pracy. Niestety, na terenie Łodzi nie znaleziono jeszcze możliwości uregulowania tego problemu. Stała boleścią zarówno posiadaczy aparatów jak i „Filmosu” jest nieregularność dostaw części zamiennych, a zwłaszcza lamp projekcyjnych, co nieraz na wiele tygodni uniemożliwia korzystanie z aparatu.

Sprawa zamrażania aparatury projekcyjnej znajduje jednak i inne poważne a dźwięnie nierozwiązane podłoże. Trudno mówić o planowym i systematycznym wykorzystywaniu filmów, gdy w większości naszych szkół zaledwie kilku (często 2-3) nauczycieli posiada to sztuki. Wydaje się, że najwyższa pora, by władze szkolne podjęły systematyczną akcję szkolenia nauczy-

cieli. Jeszcze raz powraca tu chyba sprawa zorganizowania sekcji środków audiowizualnych, w której gestii byłaby także sprawa koordynacji wszystkich spraw związanych z najważniejszymi korzyściami z środków technicznych w procesie nauczania i wychowania.

Ostatnie rozmowy władz szkolnych naszego miasta z dyrektorem „Filmosu” dowodzą, iż poszukuje się stale najlepszych form rozwiązywania tych problemów. Krótkim naprzód jest na pewno organizowanie stałych przeglądów filmów godnych wykorzystania w pracy pedagogicznej oraz projekt stworzenia przy OOM grupy instruktorów szkolnych nauczycieli w obsłudze aparatury projekcyjnej.

Omalwano tu problemy mogłyby sugerować, iż fakt niepełnego wykorzystywania filmów przez szkoły sprowadza się głównie do niewłaściwego funkcjonowania tandemem aparatura-człowiek. Niestety, nie tylko. Nauczyciele mają powody, by skarżyć się, iż dostępność filmów jest często problematyczna. Wie o tym również kierownictwo „Filmosu”. Starania „Filmosu” o zwiększenie ilości kopii filmów najbardziej chodliwych, zestawy filmów zastępczych, obieg cykliczny i wreszcie organizacja filii „Filmosu” w powiatach ma likwidować stopniowo trudności, które stanowiły jedną z głównych przyczyn niewłaściwego i niepełnego korzystania z filmów.

Łódzki oddział „Filmosu” jako pierwszy w Polsce rozpoczął na tak szeroką skalę poszukiwania nowych form rozpowszechniania filmów na terenie województwa, w chwili obecnej w siedmiu powiatach naszego województwa powstały filie (z tendencją do powiększenia ich ilości) a reszta powiatów objęta jest obiegami cyklicznymi. A więc wiele się zmieniło od czasów, gdy każda szkoła z najdalego zakątka naszego województwa musiała indywidualnie zamawiać w Łodzi filmy. Choć to dopiero sprawa kilku miesięcy, to wykorzystanie filmów przez szkoły w tych powiatach, gdzie są już filie wzrosło już o 300 proc. Należy tu mocno podkreślić fakt, iż choć inicjatywa wyszła od „Filmosu”, nie zdołałaby ona zrobić wiele, gdyby nie zrozumienie i poparcie władz Kuratorium woj. łódzkiego, które natychmiast, w ciągu kilku tygodni, zdołało wygospodarować pomieszczenia dla tych filmów i w ramach swych możliwości poprzeć działalność filii.

Możemy stawiać „Filmosowi” wiele zadań — domagać się stałego zwiększania ilości kopii i lepszego ich stanu, ale trzeba również powiedzieć, że w ramach tego, co można już dziś uczynić, robi się bardzo dużo. Nie „Filmos” bowiem odpowiada za to, iż nauczyciele narzekają na brak filmów niezbędnych np. do nauczania języków obcych, matematyki, języka polskiego czy wychowania obywatelskiego. Nie z winy „Filmosu” nie znajdujemy wśród pozycji fabularnych, których też przecież trochę posiada, takich filmów, które nauczycielom polonistom czy historykom są niezbędne. Nie zawsze finansowe możliwości pozwalają na to, by dać szkołom takie ilości kopii, by zaspokoiły ich potrzeby.

Partnerzy, którzy widzą sens wspólnego działania zwracają się do siebie ręce, we dwójkę zawsze łatwiej pokonać to, co samemu bardzo trudno.

## Rozmawiamy z J. M. Rektorem PWST i F doc. dr Bolestawem Lewickim

Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna i Filmowa stała się przed kilkoma miesiącami przedmiotem ostrej krytyki. Analizowano jej działalność nie tylko od strony warsztatowej, specjalistycznej, ale głównie — społecznej i politycznej zarzucając szkole elitaryzm, bezideowość, atmosferę samowielbienia i pogardy dla otoczenia, apolityczność, oderwanie od życia społecznego i politycznego kraju, miasta w którym działa, niewłaściwą politykę rekrutacyjną, protekcyjność i tak dalej i dalej.

W PWSTiF im. Leona Schillera przeprowadzono pewne zmiany, w pierwszym etapie głównie natury personalnej. Nowe władze uczelni stanęły przed na pewno niełatwym zadaniem poprowadzenia nowego roku akademickiego w obliczu konieczności przeprowadzenia pewnych reform i zmian, a jak wiadomo z życia, przeprowadzanie reform nieczęsto bywa łatwe.

## Jaka ma być ta szkoła?

Na temat kierunków dalszego rozwoju uczelni rozmawiamy z jej rektorem doc. dr BOLESLAWEM LEWICKIM.

— Panie Rektorze, krytyka szkoły filmowej była częścią składową szerokiej dyskusji na temat sytuacji panującej w kinematografii polskiej, a niedawno twórczości filmowej ostatnich lat wiązano z nieprawidłowym działaniem uczelni. Jakże jest Pańskie zdanie na ten temat?

— Na pewno było w tym wiele racji. Powiedziałbym wczasy ktoś, że jeśli w naszym filmie nie ma wielkiej dyskusji artystycznej, „panuje bezproblemowość i schematyzm” to dlatego, że nie ma takiej dyskusji w szkole, z której już dziś rekrutuje się przytłaczająca większość realizatorów filmowych. Moim zdaniem główną przyczyną tego stanu rzeczy była dehumanizacja szkoły, oderwanie od aktualnych wydarzeń życia, od polityczności, brak zajęć dydaktycznych, kult techniki, warsztatowości. Nie chciałbym, aby ta moja wypowiedź była zrozumiana jako lekceważenie spraw warsztatowych, nowoczesnej techniki, niezbędnej przecież dla produkcji filmowej. To są na pewno sprawy ważne. Ale szkoła filmowa to nie tylko próba wytwórci. To także wyższa uczelnia, której obowiązkiem jest kształtowanie świadomości młodzieży, jej postawy ideowej, budzenie zaangażowanego stosunku do tego co się dzieje w kraju i na świecie, wychowywanie przyszłych twórców dzieł o głębokich treściach humanistycznych.

Bez tych treści film nie będzie nigdy dziełem wielkiej rangi.

I druga sprawa, dotycząca sytuacji dość paradoksalnej. W tej szkole panowała metoda, którą nazwałbym studentocentryzmem. Student był tu samodzielnym producentem, profesor jedynie konsultantem, dysponującym często tylko głosem doradczym. To jedyna chyba szkoła filmowa w świecie, gdzie w pracowni szkolnej student jest partnerem do spraw ekonomicznych. Szkoła jako zespół młodych, praktykujących producentów — to koncepcja, która na pewno sięga do Łodzi zagranicznych słuchaczy na studia. Tu student, w gruncie rzeczy niekontrolowany, praktykuje na koszt szkoły. Zrobienie z tej metody systemu, bo wtedy robi się jeszcze jedna, dodatkowa.

— Czy istnieje już koncepcja zmiany tej sytuacji?

— Moje propozycje idą w dwóch kierunkach: po pierwsze do jak najściślejszej integracji wewnątrz szkoły, a po drugie — do rozszerzenia zakresu jej działalności.

— W pierwszym punkcie widzę z jednej strony konieczność nawiązania ściślejszej niż dotychczas współpracy warsztatowej pomiędzy poszczególnymi katedrami, a z drugiej — humanizacji studiów poprzez zajęcia dydaktyczne, wspólne wykłady i seminaria z zakresu przedmiotów wychowawczych, ideologicznych. Istotną sprawą będzie również podniesienie rangi wydziału aktorskiego, który dotychczas, jak mi się wy-

daje, nie był równouprawniony z innymi wydziałami.

Rozszerzenie zakresu szkoły widzę w rozwinięciu pewnych działań twórczości oraz pewnej reorganizacji wydziałów uczelni. Przez rozwinięcie działań twórczości rozumie przed wszystkim wzmocnienie kierunku filmu informacyjnego i nauczającego, który aczkolwiek był dotychczas prowadzony, to przywiązywano do niego mniej wagi niż do filmu fabularnego. Położenie większego nacisku na film oświatowy, naukowy, dokumentalny, jest koniecznością wynikającą i z realnych potrzeb filmowego rynku i z konieczności przybliżenia studentów do życia. Chciałbym też, by nasi słuchacze nauczyli się znajdować tematy do filmów obok siebie, za oknem, na sąsiedniej ulicy.

— Czy zmiany w organizacji wydziałów widzi Pan poprzez zwiększenie ich liczby?

— Niezupełnie. Wydaje się, że pozytywne byłoby tu zmiany. A więc połączenie wydziałów operatorskiego i reżyzerskiego w jeden — filmowy, a stworzenie nowego — telewizyjnego. Pierwszy postulat jest właściwie praktycznie wprowadzony w życie, bo obydwie wydziały, reżyzerski i operatorski są prowadzone przez jednego dziekana. Powołania do życia wydziału telewizyjnego wymaga od nas konkretna rzeczywistość. Jak to kiedyś powiedział minister Motyka, telewizja jest naszą koniecznością czy się nam to podoba czy nie. Już dziś jesteśmy szkołą filmowo-telewizyjną, większość technicznych pracowników telewizji stanowią nasi absolwenci i w dalszym ciągu „maszerują oni do telewizji czworakami”.

Przecież właśnie my jesteśmy do tego powołani, by wychowywać dla telewizji nie tylko twórczych pracowników technicznych, ale i bardziej wszechstronnych realizatorów widowiska telewizyjnego, prowadzonego na żywo, widowiska poetyckiego, audycji estradowej, scenarzystów, twórców gatunku takiego, jaki reprezentują dziś Marzyński czy Dziędziłówna. Powiązanych z życiem, zaangażowanych dzień niktary — filmowców. Oczywiście nie tracąc przy tym z oczu i nie zaniedbując wychowywania twórców filmowych wielkiego formatu, zachowując wszelkie walory szkoły wielkiej sztuki.

To poszerzenie profilu szkoły pozwoliłoby nam na zmianę kryteriów naboru kandydatów, wprowadzenie nowych, ożywczych prądów do uczelni, wychowanie młodzieży zaangażowanej, wrażliwej, reagującej na aktualne wydarzenia życia kulturalnego, społecznego i politycznego nie tylko postawą osobistą, lecz i twórczością.

Przy okazji chciałbym wspomnieć i o innych planach. Zamierzamy zbudować na terenie szkoły eksperymentalny ośrodek telewizyjny, który byłby pożytecznym warsztatem dla słuchaczy. Marzy nam się, że w przyszłości jedego działalnością zainteresuje się Łódzki Ośrodek Telewizyjny. Może spodobać mu się

nasze programy i eksperymenty?

— Wspomniał Pan Rektor o potrzebie podniesienia rangi wydziału aktorskiego. Jak widzi Pan tę sprawę praktycznie?

— Nie tracąc z oczu faktu, że wydział kształci przede wszystkim aktorów teatralnych (notabene mamy zamiar stworzyć przy wydziale własny teatr szkolny), chciałbym rozszerzyć profil wydziału o aktorstwo filmowe i telewizyjne. Nasza szkoła, je dyma w kraju ma realne możliwości kształcenia tego właśnie typu wszechstronnych aktorów, obeznanych nie tylko ze sceną i estradą, lecz także kamerą filmową i telewizyjną. Będzie to wymagało sporych zmian w programie nauczania, ale to zamierzenie warto zrealizować.

Chciałbym, by PWSTiF, dziś nazywana przyzakładową szkołą filmową, stała się również przyzakładową szkołą telewizyjną.

— Panie Rektorze, pytanie może nieco drażliwe, myślę jednak, że warto je postawić. Czy zdaniem Pana zmiany kadrowe, które miały miejsce w uczelni, mogą wpłynąć na tok pracy dydaktycznej?

— Chyba tylko przy złej woli wykładowców, a to na pewno nie ma miejsca. Bo przecież grono profesorskie pozostało niemal całkowicie niezmienione. Prof. prof. Wajdowicz, Wohl, Kluba, Róże-wicz i inni dobrzy specjaliści są nadal wykładowcami w naszej uczelni. Pewne zmiany zasły na stanowiskach dziekanów i kierowników katedr: dziekanem wydziału aktorskiego została prof. Maria Kaniwska na miejsce prof. Hanny Maikowskiej, która prosiła o zwolnienie jej z funkcji dziekana, dziekanem wydziałów reżyzerskiego i operatorskiego jest prof. Jerzy Mierzejewski, katedrę reżyserii filmu objęła prof. Wanda Jakubowska w miejsce prof. Antoniego Bohdziewicz, który czasowo opuścił szkołę. Nie są to więc zmiany, które mogłyby mieć negatywny wpływ na wyniki nauczania.

— Jak Pan Rektor ocenia pracę organizacji ZMS na terenie uczelni?

— Pytanie nieco kłopotliwe. Myślę, że wzmocnienie tej pozycji i zwiększenie wpływu na życie uczelni jest kwestią czasu. To znaczy czasu, gdy po zmienionych kryteriach naboru na studia napłynie do nas nowa młodzież, gdy szkoła zostanie powiązana mocniej z życiem. Chciałbym na zakończenie powiedzieć, że mam nadzieję powiązać ją mocniej z Łodzią, miastem, w którym powinna pozostać na zawsze.

— Dziękujemy za interesującą rozmowę i życzymy jak najszybszego zrealizowania tych ze wszech miar słusznych i potrzebnych planów.

Rozmawiała:

TERESA WOJCIECHOWSKA

### BOGDA MADEJ

## KSIAŻKI NA SZNURKU

„Byłam świadkiem, jak przy składowaniu chleba na półkach, bochenek wypadł na podłogę. Pani, która czynność tę wykonywała, na zwróconą uwagę odpowiedziała w sposób niegrzeczny i położyła zabrudzony chleb na półce” — 29.VI.1968.

„Ekspedientce zwrócono uwagę za niefaktowne zachowanie się do

w/w Obywatelki i poinstruowano jak postąpić w w/w wypadku” — 1.VII. 1968.

Korespondencja ta, to fragment książki skarg i wniosków, bo tak nazywa się od pewnego czasu to, co przywykliśmy już zwać książką życzeń i zażaleń. Zmiana nazwy na „przynajmniej” dostojniej i poważniej brzmiąca, nie pociągnęła na szczególne uwagi. Klient tak samo jak dawniej może ulżyć sobie, jeśli coś mu się w sklepie nie podoba i poprosić ekspedienta o książkę.

No i co z tego, że się wpisze? — odpowiedział mi pytaniem na pytanie pewien pan, mrużąc pod nosem pretensje skierowane do ekspedientki.

Pani sądzi, że to coś da? — dodał i opuścił sklep, kontynuując niezadowolone mrużenie.

Właśnie. Co to da? — Wszyscy jesteśmy klientami. Od czasu do czasu niezadowolonymi. Warto więc sprawdzić, jaki jest pożytek ze sklepowych książek na sznurku.

\* \* \*

„W każdej placówce uspołecznionego handlu detalicznego i prze-

mysłu gastronomicznego lub usług powinna być udostępniona obywatelom książka do wpisywania skarg i wniosków.

Dla ułatwienia konsumentom zgłaszania skarg i wniosków, w każdej placówce handlowej należy umieścić w miejscu widocznym wywiszkę informującą, gdzie znajduje się książka do wpisywania skarg i wniosków.”

Tyle Kodeks Postępowania Administracyjnego. Rzeczywistość różni się nieco od odpowiednich paragrafów zarządzeń. Wystarczy podczas zakupów w różnych sklepach uważnie się rozejrzeć, by stwierdzić, że nie wszędzie książka skarg i wniosków jest widoczna, a i wywiszki informujące o niej darmo szukać. Wystarczy poprosić ekspedientkę o podanie książki, by od razu spotkać się z pytaniem, o co chodzi. To jeszcze nie koniec. Nieuchwytny w innych wypadkach kierownik placówki, zjawia się tym razem błyskawicznie. Najpopularniejsze są dwa kierowniczki wejścia. Pierwsze — z książką w ręku. Konieczny jest czarujący uśmiech, który obiecuje cały asortyment znajdujący się w sklepie i magazynie i powinien z miejsca wytra-

cić pióro z dłoni wybrzydzonego Klienta. Tak wchodzi panie kierowniczki. Panowie stosują raczej drugi sposób. Bezszelestnie zjawiają się za plecami i z uwagą, wyglądając zza naszego ramienia, śledzą poruszenia pióra.

Dalsze postępowanie, gdy uwaga już jest wpisana, określają dokładnie zarządzenia i przepisy zawarte w KPA. Kierownik sklepu musi wpisać do książki wyjaśnienie w ciągu 3 dni, a kopie skarg lub wniosków wraz z własnymi wyjaśnieniami przesłać do dyrekcji przedsiębiorstwa. O sposobie załatwienia, bądź o przekazaniu sprawy dyrekcji kierownictwo placówki handlowej zawiadomi w trzydniowym terminie klienta, który dokonał wpisu.

Termin odpowiedzi z dyrekcji nie powinien przekraczać jednego miesiąca i tylko szczególne powody mogą spowodować dodatkowe opóźnienia.

O tym, jak ta teoria jest stosowana w praktyce, decydują oczywiście ludzie. Na ogół kierownicy sklepów przestrzegają zarządzeń, szczególnie w tym wypadku, gdy dyrekcja ściśle kontroluje sposób prowadzenia ksiąg. Bywa inaczej. W sklepie PSS przy Piotrkowskiej, gdzie między in-



# Gdy krwią zardzewiały korony

Dalszy ciąg ze str. 1

fakt przerwania połączenia telefonicznego pomiędzy Warszawą a Krakowem, co miało podobno nastąpić z rozkazu Daszyńskiego.

Chociaż w Niemczech szerzyła się rewolucja, co skłoniło generalicję do szukania porozumienia z Ententą i z Berlina nadawano do Paryża pospiesznie iskrowki, a cesarz Wilhelm zastanawiał się już, gdzie zbiec przed gniewem ludu, okupacyjny garnizon w Łodzi, wyspecjalizowany w rekwizycjach i grabieżach, słuchał jeszcze komendy.

Łódzka ulica wrzała, nastroj wielkiego oczekiwania udzielił się także Niemcom. Polskie organizacje polityczne i wojskowe przygotowywały się do przejęcia władzy. Prawica zabiegała o to, aby ten akt nastąpił w spokoju, znaną metodą „z rączki do rączki”. Wyjście na ulice mas, których nastroje radykalizowały się z każdym dniem, mogło zagrozić żywotnym interesom burżuazji sprawującej władzę w ustanowionym przez okupanta samorządzie.

9 listopada a więc wkrótce po tym, jak do Łodzi dotarła wiadomość o rządzie lubelskim, zarządzone ostre pogotowie wszystkich łódzkich organizacji militarnych. Dowódcy, legionści i powiaty a także członkowie „Sokoła” otrzymali zadania bojowe. Do walki przygotowywali się też szkolone od pewnego czasu bojówki partyjne, enzeretu i PPS-Frakcji.

Ulica pulsowała. Pod Grand-Hotelem zbierały się tłumy wygwizdujące niemieckich oficerów. Policjantów przysyłano do rozpedzenia zbliżającego rozbrojenia.

Wiadomości te mocno nienakolity burmistrza Skulskiego, który porozumiewał się z komendantem miasta Loersem w sprawie bezkrwawego przejęcia władzy. Zdawał sobie sprawę, że ludność Łodzi rozumie przez nienadłość Polski w równym stopniu wolność polityczną, co i społeczną.

2.

To była jesień pamiętna. 9 listopada wybuchła rewolucja w Berlinie. Cesarz Wilhelm, osławiony Wilhelm Hohenzollern w panicznym strachu uciekł samochodem do Holandii.

Wiadomości o wypadkach w Niemczech dotarły do Łodzi z jednodniowym opóźnieniem. Stacjonujący w mieście garnizon niemiecki zbuntował się: żołnierze zdzierali oficerom epolety i przypinali sobie do mundurów czerwone kokardy. Utworzyli też rewolucyjną Radę Żołnierską, Soldatenrat.

Z inicjatywy PPS zwołano wiec niepodległościowy, na którym wystąpił działacz okręgowy Remigiusz Napiórkowski. Wzniesiono okrzyki na cześć Rządu Ludowego, ale skończyło się na samych okrzykach: organizatorzy zapomnieli jakoś zapoznać zgromadzonych z programem politycznym rządu Daszyńskiego, choć był to na owe czasy program wybitnie postępowy: zapowiedź reformy rolnej i nacjonalizacji przemysłu.

Wszędzie mówiono o zachowaniu spokoju: na wiecach, w prasie, w Magistracie. Ale miasto żyło: ludność owacyjnie witała niemiecki samochód wojskowy, na którym żołnierze wleźli rozwinięty czerwony sztandar.

Burmistrz Skulski konferował w Magistracie w sprawie zapobieżenia rewolucyjnym akcjom ludności Łodzi. Owacyjne witanie przez tłumy czerwonego sztandaru sprawiło, że burmistrz zrezygnował z pierwotnej koncepcji bezkrwawego przejęcia władzy, stopniowo, etapami, placówka po

placówce, urząd po urzędzie. U wrót miasta stała rewolucja. W Sali Koncertowej popisywał się medjonista, profesor Czerbak z Krakowa dając seans iluzjonistyczny ilustrowany specjalnymi pokazami ogni; w tej samej sali miał potem wygłaszać odczyt „Odrodzenie narodów” reakcyjny pisarz Adolf Nowaczyński.

11 listopada prasa przyniosła wiadomość o powrocie do Warszawy z twierdzy magdeburskiej brygadiera Józefa Piłsudskiego. Ludzie, którzy kupowali gazetę, nie wiedzieli jeszcze, że brygadier „wysiadł z socjalizmu na przystanku Niepodległość” — łódzka ulica, tak entuzjastycznie witająca czerwone sztandary, rwała się do czynu. Ludzie zatrzymywali tramwaje i odbierali broń jadącym w nich Niemcom: zbierali szable oficerskie i żołnierskie giwery.

Równocześnie wyszły na miasto bojówki partyjne i bojowe oddziały polskich organizacji paramilitarnych. Wieczorem słychać było w całym mieście odgłosy wystrzałów: walczone o dworce, pocztę i telegraf, komisariaty policji. Do akcji rozbrajania Niemców samorzutnie przyłączyła się ludność Łodzi, nierzadko nawet dzieci.

Zapał mas przeraził ponownie burmistrza Skulskiego: Magistrat obawiał się, że zdobyte karabiny niemieckie dostaną się do rąk robotników. W Magistracie przez całą noc toczyła się narada z udziałem niemieckiej Rady Żołnierskiej. Rankiem ogłoszono zmienną odezwę:

„Postanowiono niniejszym wezwać ludność miasta Łodzi do zachowania spokoju i zaprzestania rozbrajania załogi niemieckiej”.

3.

Ranek 12 listopada oznaczał początek niepodległości Polski w Łodzi.

Ze stolicy zmierzal w kierunku miasta pierwszy pociąg posiadający polską obsługę i zatrzymał się na Dworcu Kaliskim. W zdobytym telegrafie przyjęto nadaną z Piotrkowa pierwszą depeszę nadaną w języku polskim. Całą Łódź czciła ofiary nocnych zająć, które spowodowały śmierć sześciu osób. Po mieście paradowali na koniach żołnierze ubrani w polskie mundury.

Ale napięcie nie ustawało. Magistrat poświęcił organizację milicji pod dowództwem generała Surin-Masalskiego, reakcjonisty z oddziałów Dowbór-Muśnickiego, a obrady Rady Miejskiej przybierały gwałtowny charakter, kiedy przeciwko tym

poczynaniom występuje radny Holenderski. Nazywa milicję nową placówką burżuazji „z pominięciem przedstawicieli klasy robotniczej, która zażąda obrachunku”. Podobnie krytycznie wypowiada się o organizowanej właśnie armii. Przewodniczący obrad przerywa mu: „To nie ma nic do rzeczy!” Ale Holenderski nie pozwala odebrać sobie głosu: „Niedługo to wszystko potrwa — oświadcza. — Wróci do kraju 750 tysięcy robotników, pozostających w Niemczech i sytuacja się zmieni”.

Tego dnia tramwaje, które wyjechały na miasto, poobwieszano chorągiewkami o narodowych barwach. Ludzie gromadzili się przed kościołem, gdzie wystawiono na widok publiczny trumny z ciałami poległych w powodzi wieńców i kwiatów. Pogrzeb ofiar przekształcił się w ogromną patriotyczną manifestację: brygady wojskowych, pieszych i konnych utrzymywały porządek przed kościołem i na ulicach. Orszak pogrzebowy doprowadził w asyście licznego duchowieństwa prałat Tymienicki. Kiedy trumny wyniesiono na ulicę, lud porwał je na ramiona i karawany okazały się niepotrzebne.

Na trasie przemarszu konduktu tłumy gęstniały. Pojawili się prorocy i chorągwie, żołnierze prezentowali broń i salutowali. Potem trumny złożono w kanieli przy ulicy Ogrodowej i zaczęły się przemówienia. Jak doniosła potem prasa „Imieniem Narodu Polskiego” żegnał zmarłych prof. Czerbak z Krakowa. Był to ten sam medjonista, który poprzednio dawał w sali koncertowej pokazy iluzjonistyczne.

Na mieście w dalszym ciągu wzywano do zachowania spokoju. Chociaż burżuazja opowiadała wszystkie ważniejsze placówki w mieście, wciąż jeszcze obawiano się ruchów robotniczych. „Przec z anarchią bolszewicką!” — głosiła enzeretowska odezwa. Mnożyły się wezwania o oddanie broni zdobytej przez ludność na Niemców, rozbrajano rewolucję.

W niedzielę, 17 listopada we wszystkich kościołach katolickich celebrowano msze z odsławianiem Te Deum. „by podziękować Panu Bogu za Wolną, Niepodległą, Zjednoczoną Polskę”.

4.

To była właśnie ta jesień kończąca 123-letni okres niewoli, która dzięki zwycięstwu Rewolucji Październikowej w Rosji przywróciła Polskę na mapie politycznej Europy. Polskę, zdawało się, republikańską i demokratyczną, Polskę, o jaką walczyły całe pokole-

nia powstańców i postępowe odłamy emigrantów.

Ale ludowy rząd Daszyńskiego sprawował władzę zaledwie cztery dni, a kolejny socjalistyczny rząd, Moraczewskiego, kilka tygodni.

Garnizon niemiecki wycofał się z Łodzi, zniknęły znienawidzone brązowe mundury, ustąpił rekwizycje. Niepodległość Polski stała się faktem.

Miasto głodowało, brakowało nawet ziemniaków. Magistrat, który przejął tyłe energii w rozbrajaniu najpierw Niemców, a następnie robotników, nie potrafił rozwiązać podstawowych problemów arowizacyjnych. W obawie przed gniewem ludu koncentrowano w Łodzi znaczne oddziały wojskowe. I już w dziesięć dni po ustanowieniu niepodległości skierowano polskie wojsko przeciwko Polakom: żołnierze przy pomocy karabinów rozpedzili zorganizowany w teatrze wiec robotniczy na którym przemawiali przedstawiciele SDKPiL oraz PPS-Lewicy.

Magistrat zabiegał przede wszystkim o zorganizowanie silnych formacji policyjnych. W drugim tygodniu niepodległości generał Surin-Masalski miał już u siebie na służbie blisko 1000 ludzi, werbując znaczną liczbę dawnych agentów ochrony i policji pruskiej. W pamięci łódzian sekwizy generał zapisał się nie lepiej niż Prusak von Oppen, toteż w obawie przed skandalem został wysłany wreszcie na urlop, z którego już nigdy nie wrócił.

Jesień 1918 roku, jesień nadziei, przyniosła ze sobą tylko fragment niepodległościowych aspiracji Polaków: był polityczny kraj, zagrożony jednak już od samego zarania fałszywą polityką wschodnią. Program reform społecznych i politycznych nakreślony w programie postępowego rządu lubelskiego nie został zrealizowany w ciągu całego istnienia II Rzeczypospolitej. Stał się on rzeczywistością dopiero w naszych czasach, w Polsce, w której żyjemy.

KONRAD FREJDLIH

Zródła:

M. Hertz: „Łódź w czasie wielkiej wojny”, Łódź 1933; L. Karwacki: „Walka o władzę w Łodzi 1918-1919”, Łódź 1962. „Studia i materiały do dziejów Łodzi i okręgu łódzkiego”, praca zbiorowa, Łódź 1962. Wykorzystano też liczne roczniki gazet łódzkich z r. 1918.



Zielony Rynek. Rok 1925.

nymi sprzedają odzież, w zakurzonej książce były tylko dwie czy trzy skargi.

I nie więcej. Żadnej odpowiedzi, żadnego wyjaśnienia. Pan kierownik cierpliwie tłumaczył, że jedną ze skarg wpisał jakoby jego poprzednik na złoż i wobec tego uważa się nie liczy, o następnej nie powiedział, a za to dodał jeszcze, że wszystko się klientom podoba.

Może nie wszystko się podoba, a już na pewno nie, lekceważenie klienta i to zarówno ze strony kierownictwa placówki, jak i nadzorującej ją dyrekcji.

\*\*\*

„15.IX.68, godz. 15.50. — W stoisku brak wódek tak gatunkowych, jak i eksportowych. Wniosek z tego, że handel nie przywiązuje do tego wagi, iż elementy mogą handlować wódkami. Prosiłbym dyr. o szcze-gólne rozwiązanie tej szarady, ponieważ my, ob. Łodzi chcemy się zaopatrywać w wyroby Naszego Przedsiębiorstwa.”

Wpisujemy się dość często, nie tracąc nadziei, że dzięki nam poprawi się dostawa towaru, zmienia godziny otwarcia, a nieuprzejma ekspedientka z uśmiechem będzie podawać towar.

Oto w ubiegłym roku do samych tylko placówek nadzorowanych przez Łódzkie Zjednoczenie Przedsiębiorstw Handlowych Artykułami Spożywczymi i Przemysłu Gastronomicznego wpłynęło ogółem 3.388 skarg, co w porównaniu z rokiem 1966 stało nowym rekordem, o 19,3 proc. Że jednak, co by tam wszystkie wywieszki z fałszywą kurtką aż ją nie stwierdzały, klient nie zawsze ma rację, z tej dość dużej liczby tylko 1.800 uznano za słuszne.

Na niechlubnej liście przedsiębiorstw, które uzyskały największą ilość uwag przodowały MHD Artykułami Spożywczymi Polesie i Górna z 345 skargami, MHM Śródmieście z 284 i wreszcie PP „Delikatesy” z 211. Znane są już wyniki za pierwsze półrocze roku bieżącego i można już powiedzieć, że liczba skarg i wniosków na ogół wzrosła. Trzeba tu jednak uzupełnić — wyraźnie zmalała liczba skarg słusznych, wzrosła natomiast liczba wniosków. Świadczy to o wroście wymogów społeczeństwa, a także, jak choćby w wypadku „Delikatesów”, o zmianie polityki dyrekcji.

\*\*\*

Jakie są najczęstsze uwagi klientów? Najwięcej skarżymy się na nieuprzejmą i niewłaściwą obsługę, na niedostateczną

zaopatrzenie sklepów, złą jakość towarów, odmowę sprzedaży, zawyżanie cen i niedowagę towarów, nieprzestrzeganie lub niezyciowość obowiązujących przepisów, czy wreszcie, na „historyczny” już niemal brak opakowania.

Są i wnioski. Najczęściej dotyczące godzin pracy sklepów, zaopatrzenia ich w potrzebne urządzenia i sprzęt, wcześniejszych dostaw pieczywa. Z bardziej szczegółowych podobają się np. wnioski o wprowadzeniu do sprzedaży kawy we wszystkich gatunkach w paczkach 5 dkg i umieszczeniu wywieszek informujących, że pieczywo jest tylko czerstwe.

I tu miałby rację ów sceptyczny pan, który pytał — no i co z tego, że się wpiszę? — Wnioski skierowano już dość dawno, a na ich realizację pewnie sobie jeszcze poczekamy.

\*\*\*

W bardzo sumiennej analizie przyczyn powstawania skarg na działalność placówek handlowych i zakładów gastronomicznych sporządzonej przez Wydział Handlu, czytamy m. in., że należałoby: podnieść kwalifikacje pracowników, zostrzyć kryteria oceny jakości towarów, korzystać w większym stopniu z uprawnień

dyrekcji handlowych do karania winnych niedociągnięć czy, bardzo piękny wniosek o dążeniu do ściślejszego nawiązania kontaktu między handlem detalicznym, hurtowym a przemysłem w celu poprawy zaopatrzenia sklepów.

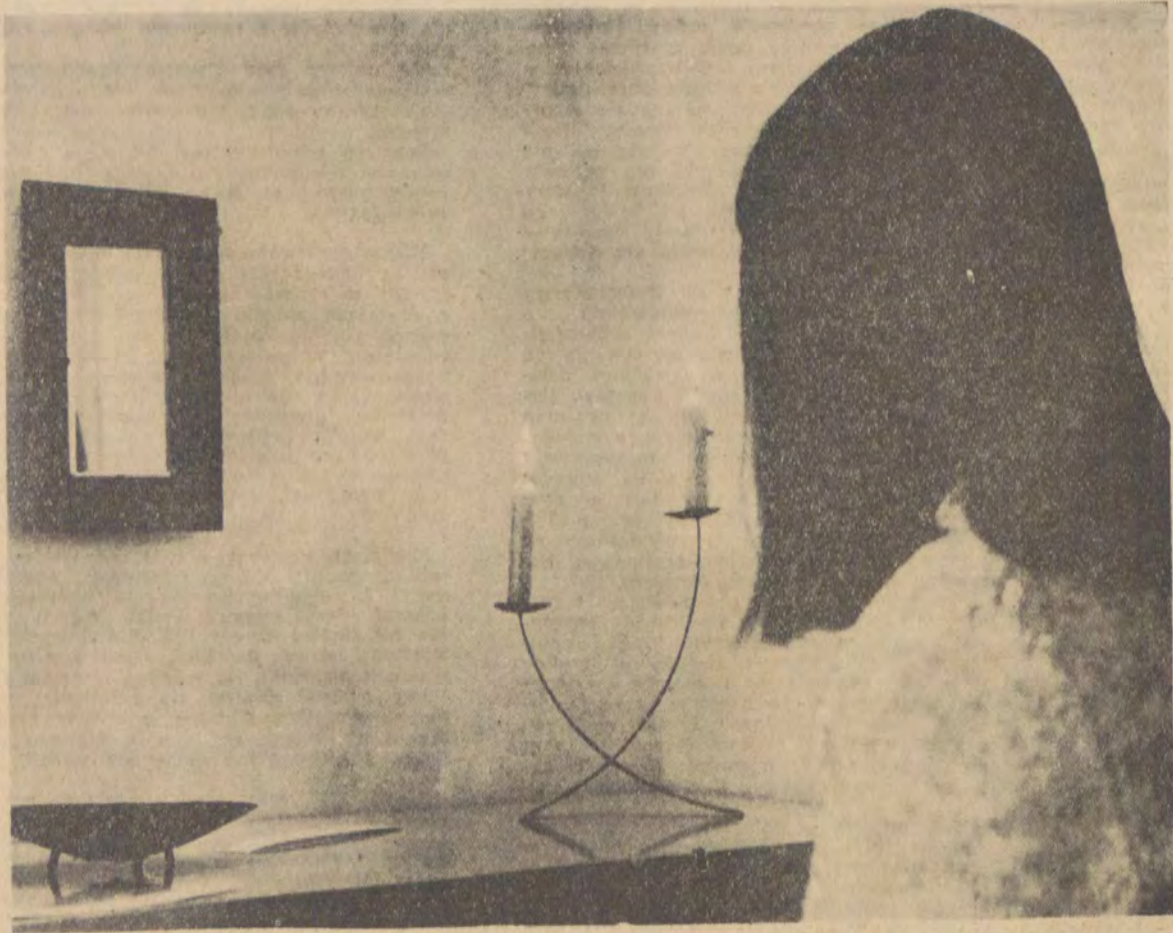
My, klienci, bylibyśmy bardziej zadowoleni, gdyby zamiast „należałoby” użyto wyrazu „trzeba”, ponarteż konkretnymi propozycjami i zarządzeniami. I żeby na to wszystko nie trzeba było czekać dłużej niż najdłuższy termin przewidziany w KPA na odpowiedź dla klienta. A za to, my klienci, jesteśmy gotowi zrezygnować od zaraz z owych śliczności tabliczek, „Klient ma zawsze rację”.

Żeby zakończyć ten krótki przegląd skarg i wniosków akcentem jednak optymistycznym, jeszcze jeden fragment z książki, tym razem „Delikatesów” nr 1.

„Bardzo serdecznie dziękuję za nadzwyczajną uczciwość pań ze stoiska owocowego. W pośpiechu chywy ciłam resztkę ze 100, zamiast z 500 zł. Panie wybiegły za mną i gonily, aby oddać mi 400 zł”.

Zyczymy sobie, abyśmy tylko takie uwagi mogli kiedyś wpisywać.





JAN HUSZCZA

## Starzy młodzi ludzie

Przed południem niektóre kawiarnie bywają puste. Siedzieli w pobliżu pod tą samą co i ja ścianą. Ona w sukience czarnobiałej, biel przeważała, uszytej z kawałków materiału o kształtach różnych figur geometrycznych. Brzeg sukienki nie dał się naciągać na kolana, gdy potem w zakłopotaniu usiłowała parokrotnie to uczynić. On w skórzanej kurtce, zastępującej marynarkę, krótko ostrzyżony.

Ja zastałem siedzącą. Gdy zamawiałem kawę, on dopiero wszedł. Przywitani się nawzajem uprzejmie. Zapewne umówione spotkanie, pomyślałem nie bez lekkiej zawiści. Najpierw prawdopodobnie mówili o sprawach obojętnych, może o pogodzie, która dopisywała. Potem jednak... Gdy się mówi o czymś z zaangażowaniem, nie zwraca się uwagi na otoczenie.

— Ma się rozumieć, zostawiam ci mieszkanie.

— A sam gdzie się pośiesz?

— To moja sprawa, Helenko. I tak przecież od miesiąca...

Weszło trzech panów, może urwali się z biura, zaczęli głośno rozważać, gdzie usiąść, więc...

— ...

— Maszynę do pisania zabieram, w dziennikarce bez niej nie można się obejść.

— Zabieraj wszystko!

— Helenko, tylko bez awantur. Rozejdźmy się jak ludzie przyzwoici. — Widać było, że z trudem zachowywał cierpliwość. Wziął ją za rękę, którą sięgała po paczkę z papierosami, leżącymi na szklanym blacie. — Wersalkę zostawiam tobie...

— Przypuśćmy. Ale telewizor nie jest mi potrzebny.

— Nim sobie kogoś znajdziesz, będzie ci nudno. Telewizor ci się przyda.

— Skąd wiesz, że nikogo nie mam?!

— Wiem, kobiety nie decydują się tak prędko na rozstanie.

— Psycholog.

— ...

— A może wróciłabyś do Wacka?

— No, wiesz...

— Zniżyli głos, więc...

— ...

— W ogóle chodzi mi tylko o maszynę i książki.

— Nawet o te, które czytaliśmy razem?

— Nawet o te.

Zaszumiał ekspres, parszkając parą, więc...

— ...

— Helenko, takie jest życie. Będę ci wdzięczny.

— Ludziłam się, że wytrzeźwiejesz. Czekaliśmy.

— Nie żyjemy w czasach, gdy złudzenia są na miejscu.

— Jakiś ty rozsądny!

— ...

— Trzeba prawdzie spojrzeć w oczy. To jak?

Ona pochylała głowę, może nie mogła patrzeć prosto. Ale potem się roześmiała.

— Masz rację. Byłam idiotką.

— Psa zabieram. Nigdy nie chciałaś wyprowadzać go na spacer. Twój stosunek do psa...

— Bo kundel.

— Jaki tam kundel. Maks to foksterier, choć bez rodowodu. Nie zostawię go na pastwę losu.

Wstał z zadowoloną miną, spieszo mu było do odejścia. Stojąc, dodał:

— Placę za kawę i lody. — W kierunku kelnerki: — Proszę pani!

Ona uśmiecha się, jest to uśmiech wymuszony, choć widzę ją tylko z profilu. Nie-  
sporo jej idzie z podaniem ręki do pocałowania.

Znowu ktoś wszedł, więc...

— ...

— Oh, ta mowa?

Ona:

— Oj, byłabym zapomniana. A dziecko! Co z dzieckiem?

Niechętnie podesunął okrągły stółek o niebieskim dermatoidowym obiciu pod siebie. Jeszcze na chwilę usiadł.

— ...

— On:

— Moja matka chora... Serce... Dość jej męgo Stasia...

Ona:

— A moja nerwowa...

On ze zniecierpliwieniem:

— Przecież jakieś wyjście musi się znaleźć. Do sądu nie pójdziemy. Cześć!

Ona odwróciła głowę — uwięzioną wielkim kokiem o mieszanym połysku, upiętym ze sztucznego warkocza — ku ścianie.

Była to ładna poza, jeżeli nieumyślna.

Okazała, żeby kobietkę pocieszyć!

Nonszalancko przysiadłem się, kelnerka zaś prawie jednocześnie stawiała zamówione przeze mnie dwa podwójne koniaki.

Kobietka z wielkim kokiem o mieszanym połysku dopiero teraz mnie zauważyła. Spojrzała na mnie z odrazą i bez słowa wyszła.

Oddechnąłem z niejaką ulgą.

## Narzeczony

W drugi dzień świąt wielkanocnych Danusia z samego rana przyczepiła się do mnie jak skarbowcy do zeznań o dochodzie. Tatuś jest uprzedzony do inteligencji, a to naprawdę przyzwoity chłopak tylko nieśmiały, sprzedać siebie nie umie, niech tatuś okaże mu swoją sympatię, jedźmy do niego z wizytą. Dziewczyno, mam dziś w rozkładzie przyjemniejsze wizyty i to w miasteczku, po co szukać wiatru w polu, dosyć przed wojną nasiedziałem się na wsi. Wiesz nawet lubię, ale tam z nudów wyc można. To nie wiesz, ale taka osada, a Pawelek ma nowy ośrodek zdrowia, w którym aż błyszczą. Byłaś? Nie, ale mi on opowiadał...

To w końcu, że byłem po wczorajszym przyjęciu towarzyskim rozklejony, kazalem Jurkowi wyrzucić wartburga, zajęchal przed ganek naszej willi, bo tak się większe domki z garażem i ogrodem wszędzie u nas nazywają, naladowaliśmy świątecznych specjałów i gatunkowych wódek do kufra, czyli do bagażnika. Nawet dwa święcone jajeczka dodaliśmy dla wywołania świątecznego nastroju. Tylko bryzgi z kaluż i dźwięk odskakiwały na strony, bo Jurek lubi przywoić jazdę. Chłopak nam się nie bardzo udał, oddałem go dwa lata temu na politechnikę, ale tyle z tego wyszło, że zdobył prawo jazdy, więc kupiłem mu wóz, co mam żalować dla dzieci, no i teraz rozbija się z dziewczętami. Nie powiem, żebym nie czuł ojcowskiej dumy, odrabia za mnie moją bezbarwną przeszłość, najlepsze dziewczęta z powiatowego towarzystwa leca na niego. Ale przecież to nie o to chodzi, chłopak będzie musiał wybrać dla siebie jakieś życie, choć na razie żadnych nie ma do tego skłonności.

No to Bóg z nim, aktualnie więcej interesuje się Danusią, do nauki nie-byla-spo-

sobna choć nie leniwa, ledwie przez maturę przebrnęła. Dobre i to. Dziewczyna ładna i przyjemna, myślałem, że i rozsądna, poważni ludzie nią się interesowali, ale bogać tam, zważała się z tym doktorkiem z wiejskiego ośrodka, który parę razy nas odwiedził, a w ogóle w te strony zawitał przed rokiem.

Mówią ludzie, że dyplom lekarski to też kapitał. Może i kapitał, ale jeżeli ktoś umie nim obracać, bo ja przecież trochę znam te stosunki. Chyba, że tym kapitałem zajmę się ja sam, Motyla. Pierwsze to w razie czego, jeżeli, cholera jasna, dojdzie do małżeństwa Danusi z tym Pawelkiem, pogadam z przewodniczącym, żeby go przeniósł do powiatu na dyrektora szpitala. Zrobię to, bo terazniejszy nie podoba się przewodniczącemu, na zebraniach podobną za bardzo rozpusza język, a języka u nas nie lubią. Myśl, bracie, swoje, ale gaśaj tak jak nakazuje obyczaj. Forsy ludzie na zdrowie nie żałują, propaganda, żeby żyć dłużej robi swoje, tylko że trzeba ich leczyć nie w szpitalu, ale u siebie w dobrze urządzonej gabinecie. A ten ordynator to też lubi się wygłupiać, żony ważnych osób oficjalnych przyjmuje w przychodni! No to zostawimy ci, panie ordynatorze, przychodnię jeżeli tak ją lubisz! Z przewodniczącym to my jesteśmy sobie obcy, na to przynajmniej wygląda, ale dobry koniak jednako wszystkim smakuje.

Tak sobie myślałem, trochę się pocieszając, gdy Danusia ubierała się do wyjazdu i kiedy jechaliśmy szosą, a potem gruntową drogą, co zresztą nie trwało długo, bo mieliśmy do tego Pawła jakieś dwadzieścia kilometrów. Dzień był owsem ładny, choć w nocy padał deszcz, to i myśli moje robiły się coraz weselsze, zieleniły się jak ta ozimina.

Doktorek był zdziwiony, kiedy wysiadaliśmy z wartburga, mnie nawet wziął pod ramię, ale przede wszystkim jednak zajął się Danusią. Boże drogi, rozglądam się ja po tym jego mieszkaniu, które jest jednym pokojem z kuchnią w małym domku przy ośrodku, oceniam na oko meble i wszystko co w pokoju, no za jeden kusz z zeszłego tygodnia mógłbym całość trzy razy kupić! Ale zachowuję ironiczny, jak to się mówi, spokój, co przywieźliśmy to na stół stawiamy, znalazły się kieliszki, składamy sobie życzenia wszelkiej pomyślności, rozsiadamy się...

Owszem od razu widać, że chłopak lubi Danusie, choć to nie nowina i co za sztuka lubić Danusie, płytę jakąś angielską z zachrypniętym śpiewem ciągle tę samą puszcza, bo widać, że obojgu im się ona podoba. Znaczący się, że jest między nimi sztafa, choć jak do tego doszło ani ja ani Małgorzata, ślubna moja, kiedyś żwawa, teraz już jak cerkiew przysadzista i banasta z obu stron, nigdy chyba nie ustalimy. Teraz to wszędzie takie rozluźnienie obyczajów, ale ja tam idę z postępowaniem, więc się nie gorszę, martwię się tylko o Danusie, bo to moja córka a nie Postępu!

Ale on, ten doktorek, taki bładny, ubrancko na nim najwyższe z sześćdziesięcioprocentowej wełny, bardzo chyba zapracowany, bo to ludzie na wsi lubią darmoche, chorują, żeby skorzystać z okazji. Przed wojną to na wsi o wiele mniej chorowano, do szpitala było daleko. Więc ten Pawelek chyba ich za dużo leczy, bo cichy i delikatnie mówiący, w ogóle wyraźnie widać, że jakiś jeszcze nieokrzesany. Jak czegoś nie dostasz, to tylko grzecznie pyta, co proszę? Co proszę? i co proszę, a ja tego nie znośnię!

U nas trzeba inaczej, bo zdepczą człowieka — jak niedopałek — cygaretki. Nawet

FELIKS RAJCZAK

## Teatr ludowy

Doc. Stanisławowi Kaszyńskiemu

W szarość horyzontu jesieni słońce weszło jak do worka. Jest wieczór, mrok. Zapalają się ogniki w burym powietrzu prowincji. Zwolują się widziadła zbyt ludzkie, abyśmy w nie nie uwierzyli. Biegają pod światło lampy, jak pod skrzydła indyczki. Perliście robią językami pociąganyymi za sznurek tekstu zapoznanego pana dramaturga.

Pod koszem remizy kluje się jajo ko-ko-medyjki.

Jakieś medium o pstrych twarzach wychodzi z wapiennych ścian — i widzi drewnem oko — obala się, olaboga, na drewnianych nogach, powstaje, szura po mysiej podłodze, i gada, panie Gospodarzu. Prosi: daj konie, pojedziemy przez dolinę!

Do stodoły przyczepimy czepcem kola — i stodołą objedziemy żytni kraj. Aż się strzecha wyszczerbi, aż połamią się krokwie, i wrotami — wszystkimi wrotami — otworzymy wasze oczy i usta.

## Dwa opowiadania

Jeżeli masz inteligentną mowę, to ją, bracie, rozbeltaj w pomyślach, do ludzi mówisz, a nie do telewizji! Jak tylko gdzie wchodzę w tłok, od razu do pierwszego lepszego, jeżeli na chojraka nie wygląda, adresuję: Cofnij się pan! A skoro nie pomaga, to radzę mu uszy przedmuchać! Jak czegoś nie dostasz to pytam krótko: Ca? Tak jak pytają w urzędzie: ca?! I prze-ważnie skutkuje, obecni nabierają szacunku, choć i ja wiem że normalnie to mówi się szacunek, chodźto się kiedyś, po wojnie, na kursy wieczorowe. I zostałbym może księgowym czy naczelnikiem jakiegoś biura od przesypania papierków naftaliną, gdyby nie pociągala mnie aktywna działalność...

No ale zaczęliśmy popijać, lepiej mi po wczorajszym się zrobiło. Piję i myślę, ach, całe twoje, Danusiu, szczęście, że masz energicznego ojca. Nie stanę ja w poprzek twojemu sercu, ale jeżeli ma dojść do weni creator i do mendelssohna w urzędzie stanu cywilnego, to we mnie młode małżeństwo znajdzie opiekuna i oporę.

Z radością widzę, że doktorek owsem wypić nawet potrafi. Nie tak bardzo jak Jurek, który tylko wlewa w siebie kieliszki i jakby nie, wód będzie prowadzić a ja wiem, że nie ma co się martwić o te dwadzieścia kilometrów do powiatu.

Doktorek popija nawet więcej niż ja, o Danusi nie zapomina, choć do siebie coraz mniej mówią, ale ja i to wiem, że nie zawsze trzeba dużo mówić, bo to o co innego chodzi. No zobaczymy, może jeszcze jakoś z niego da się zrobić choć trochę człowieka, tylko nie trzeba się spieszyć i sprawy zapeszać.

Cholera jasna, ca on z tym co proszę?! Ca, ca... krzyczę! Rączki białe, obycie skromne, i słówka jak mizerne kwiatuszki na glinkastym pagórku!

Wszyscy widzimy, że Jurek to bardzo spieszy się do kieliszka. Państwo chyba dziś nie wróca, zaniepokoił się doktorek, bo kto wóz poprowadzi? Spokojna głowa, krzyczy Jurek, a jest na twarzy czerwony, krew w nim zaczęła żywiej krążyć.

Nie pozwolę, żebyś pan Danusie narzął na niebezpieczeństwo! A co, chciałbyś, żeby Danusia u ciebie na noc została? Fajna okazja, co, doktorku? Jurek mruży swoje jasne oczeta i kłuje jeszcze gorszy mi słowami tego niby narzeczonego.

Jak pan śmie, cienkim głosem krzyczy doktorek. Śmiej czy nie śmiej, a wiem, że ty aż piszczysz, żeby dobrać się do Danusi. Za wcześniej, drętwiaku! Do tych rzeczy to możesz sobie znaleźć jakąś większą dziewczuchę...

Nim się skapowałem, nasz przysły narzeczonny, a właściwie chyba narzeczone, choć żadnych zaręczyn nie było, gwałtownie wstał i takiego kopa dał w krzesło, że wyskoczyło spod Jurka, a Jurek rozłożył się na podłodze. O, niedobrze, może być wycisk i to nie wiadomo dla kogo, Jurek zerwał się, podciągnął spodnie i zaplął marynarkę i z kulakami do doktora. Nim Danusia stanęła między nimi, doktorek ciach-mach ta delikatna plastka jak nie wyróżnie naszego Jurka! Zadrzało we mnie ojcowskie serce, z ojcowskim autorytetem patrzę mu w oczy, żeby dalszy bieg wypadków powstrzymać. I przedłużko nalewam likieru, niech wypija za moje zdrowie, bo w rodzinie trzeba pogodę zrobić.

Pogoda nie od razu się udała, jeszcze się rzucali, ale nie o to chodzi. No cóż, może jednak doktorek da się wykształcić na odpowiedniego męża dla Danusi? Jakoś zrobiło mi się wcale fajnie w to drugie wielkanocne święto, nawet zaczęłam żalować, że Małgorzatę zostawiliśmy w domu!



# O szansach powieści politycznej

ROZMAWIAMY  
ZE ZBIGNIEWEM  
NIENACKIM

**ODGŁOSY:** Po ukazaniu się „Worka judaszów”, a potem „Podniesienia”, w niektórych recenzjach wyzawało się nadzieje, że dojrzeje Pan na pisarza politycznego. Co Pan o tym sądzi?

ZB. NIENACKI: Wydaje mi się, że w pewnym sensie spełniłem te nadzieje. Uważam się za pisarza politycznego, co nie znaczy, że każda moja książka ma się zajmować problemami politycznymi. Ale przecież mam już za sobą ogromną dwutomową powieść pt. „Liście dębu”, (pierwszy tom się ukazał, drugi lada miesiąc znajdzie się na półkach księgarskich). A jest to utwór polityczny. Treścią tej książki są dramaty i konflikty ludzi wplątanych w ogromny dramat polityczny, jest to nie problemy polityczne, jest to nie polityczny. Myślę, że warto również wspomnieć o mojej młodzieżowej powieści — „Księga strachów”. Uważam ją także za utwór polityczny, próbę wplecenia do powieści przygodowej wątku politycznego, problemu naszego stosunku do tego co się dzieje w Niemczech zachodnich. Był to swojego rodzaju eksperyment: dać 12-14-letkom książkę z przygodami, ale te przygody dzieją się na skutek pewnych wydarzeń politycznych.

**ODGŁOSY:** Pozwolę sobie zadać Panu trochę naiwne pytania: czy uważa Pan za obowiązek pisarza zajmowanie się polityczną literaturą, za wyraz zaangażowania w problemy polityczne kraju?

ZB. NIENACKI: Nie wiem dlaczego piszę powieści polityczne. Moją cichą tęsknotą jest uprawianie literatury dałkiej od polityki. Pisanie książek na przykład, o miłości. Taką powieścią miały być „Liście dębu”. Ale jak zacząłem pisać, gdy już osadziłem bohaterów w konkretnych realiach, to okazało się, że na pierwszy plan znowu zaczęła się wysuwać polityka. To ona spłatała losy



bohaterów, zdruzgotała ich miłość. Bardzo zazdroścę pisarzom, którzy potrafią pisać inaczej. Wydaje mi się, że politycznym pisarzem trzeba się urodzić. Namawianie, zachęca nie do uprawiania politycznej twórczości literackiej nie ma chyba większego sensu. Ja na leżę do pokolenia ludzi wywodzących się z kręgu ZWM, politykę mam we krwi i choćbym chciał, nie potrafił się od niej oderwać. Ale znowu jednak podejmę próbę odejścia od polityki...

**ODGŁOSY:** Dlaczego? Czy tego rodzaju twórczość nie daje Panu satysfakcji?

ZB. NIENACKI: I tak, i nie. Satysfakcję daje pisarzowi czytelnik. „Księga strachów”, która ukazała się w nakładzie 30 tysięcy egzemplarzy, zniknęła w ciągu dwóch godzin z półek księgarskich, bibliotekarzy mówili mi, że czytelnicy ciągle ich pytają o drugi tom „Liści dębu”. A pamięta pan co się działo z „Malowniczymi” Putramenta? Albo z „Kamieniami tablicami” Żukrowskiego. To przecież były bestsellery. Świadczy to o ogromnym zainteresowaniu ludzi tego rodzaju literaturą. To samo zresztą dzieje się i za granicą. „Worek judaszów” miał w ZSRR dwa róż-

ne przekłady, ogromną ilość przedruków, prawie pół miliona czytelników. W Czeskiej słowacji — 30 tysięcy egzemplarzy. W NRD — dwa wydania po 24 tysiące egzemplarzy, a potem trzecie, masowe — 100 tysięcy. Obecnie telewizja NRD robi z tego 3-odcinkowe widowisko. A w Polsce? Pierwsze wydanie: 8 tysięcy egzemplarzy, a drugie — 10 tysięcy. Ale nie w tym leży „pies pogrzebany”, jeśli się tak wolno wyrazić. Jestem zdania, że wbrew temu co niektórzy sądzą, wbrew za ocenom naszej partii — nie ma jeszcze u nas klimatu dla literatury politycznej. Chce pan przykład? Najlepiej z własnego podwórka. Przed „Liściami dębu” wydałem powieść „Sumienie”, o konfliktach moralnych sędziego, który skazał mordercę na karę śmierci. Powieść ta była dość daleka od polityki. Miała w Polsce ponad 30 recenzji. Potem wydałem „Liście dębu”, które miały... Dwie (sic!) dwie recenzje. Wiele naszych pism literackich stosuje wobec literatury politycznej znowu milczenie. Bo przecież tego nie można chyba nazwać inaczej? Nie chcą pisać o tego rodzaju literaturze ani dobrze, ani źle, wolą ją przemilczeć. Uważam, że sytuacja pod tym

względem jest po prostu skandaliczna. Noszę w sobie błąd nadzieje, że może o tej właśnie sytuacji zechcą powiedzieć na Zjeździe pisarzy, delegaci i nastąpi potem jakaś zmiana na lepsze. To zresztą tylko jedna z wielu trudności, piętrzących się przed powieścią polityczną.

**ODGŁOSY:** Tkwią one chyba w samej materii tego rodzaju twórczości.

ZB. NIENACKI: Tak. Bo co to jest właściwie ta literatura polityczna? W księgarni, w bibliotekach publicznych, na półce, która nosi etykietkę „literatura polityczna”, znajdzie Pan klasyków marksizmu albo ich opracowania, jakies broszury, dotyczące przez różnych wydarzeń politycznych i społecznych. Powieść polityczna czy zbiór opowiadań politycznych znajdzie się na półce z beletrystyką, a dramat polityczny na półce z dramatami, satyra polityczna na półce z utworami satyrycznymi. Tak więc ani księgarz ani bibliotekarz nie wyróżniają jakoś specjalnie tego rodzaju twórczości, i chyba słusznie. Powieść polityczna, to po prostu powieść bezpośrednio zaangażowana w problemy ideowo-polityczne. Tak bym to sformułował, choć zdaje sobie sprawę z niedostatku tego rodzaju określenia. Ale w tym sformułowaniu ważne jest dla mnie słowo „bezpośrednio”. Albowiem nie ma literatury niezaangażowanej w jakiś sposób w problemy ideowo-polityczne swojego czasu, rzecz kryje się w stopniu zaangażowania, czy dzieje się to w sposób pośredni czy bezpośredni. Oczywiście, forma nie ma tu znaczenia. Może być powieść polityczna w konwencji sensacyjnej czy przygodowej, jak „Rano przeszedł huragan” Machejki lub nawet mój „Worek judaszów”, może być romansem jak „Kamienne tablice” Żukrowskiego, może to być ogromna epika epopeja jak „Cichy Don” Szolochowa, a wreszcie może nosić nawet kostium historyczny. Tylko talent autora decyduje o tym, czy taka powieść posiada odpowiednią rangę literacką, zajmuje już na stałe miejsce w literaturze, czy też szybko umiera. Oczywiście, ten bezpośredni stopień zaangażowania niesie w sobie szalone niebezpieczeństwo, można przytoczyć dziesiątki przykładów powieści politycznych, które w chwili wydania budziły ogromny zachwyt krytyki, a w rok później szły na przemiał. Ale były to po prostu rozpisane na głosy i stabilizowane aktualne te-

zy polityczne, niewiele te utwory miały wspólnego z literaturą, poza literackim i to niekiedy wątpliwym językiem, w jakim były pisane. I poza nazwiskami pisarzy, którzy te utwory firmowali. Nie zgadzam się z poglądem, że powieść polityczna, to taka powieść, w której losy bohaterów są zdeterminowane wyłącznie przez politykę. Taka powieść byłaby z gruntu fałszywa, bo losy człowieka determinuje wiele czynników. Ale nie wierzę także, aby mogła w obecnej dobie w naszym kraju powstać prawdziwa wielka powieść zupełnie pozbawiona polityki. Nawet dramat trójaktowy małżeńskiego. Przecież ci ludzie gdzieś pracują, coś robią, oprócz tego, że się kochają, oprócz polityki? Polityka pecha się do każdego domu drzwiami i oknami, bohaterowie muszą mieć taki czy inny stosunek do aktualnych spraw, które się wokół nich dzieją, a jeśli go nie mają, nie ich one nie obchodzą, to też coś znaczy, to także w tym coś się kryje, i pisarz musi o tym powiedzieć, jeśli nie chce stworzyć dzieła zakłamanego. To słowo „zakłamanie” używa się często w stosunku do powieści politycznej, ale czy nie pora powiedzieć, że zakłamanie bywają powieści właśnie takie, w których nie ma nic o polityce? Na całym świecie powieźe przesycone jest polityką, a tym powietrzem każdy oddycha. Pisarz również. I jego bohater. A mnie niektóre książki u nas wydawane przy pominięciu powieści Lema, w których bohaterowie chodzą w skafandrach nie po ziemi, a po jakiejś innej planecie. Oddychają nie powietrzem, ale tlenem z butli.

**ODGŁOSY:** Powiedział Pan jednak na początku naszej rozmowy o swych tęsknotach do powieści dalekiej od polityki.

ZB. NIENACKI: Owszem, ale to chodziło o odejście od powieści bezpośrednio zaangażowanej w politykę, na rzecz powieści tylko pośrednio zaangażowanej. Ale jak Panu mówiłem, trudno mi to przychodzić.

**ODGŁOSY:** „Liście dębu” mówią o czasach dość już odległych, o końcu wojny i pierwszych latach władzy ludowej w Polsce.

ZB. NIENACKI: Czy rzeczywiście o odległych czasach? Zaraz po wojnie napisano sporo książek politycznych na te tematy, a ostato się niewiele. Nawet „Popiół i diament” nosi w sobie pęknię-

cie choćby w postaci Szczuki, bardzo schematycznej i uproszczonej. Jeśli uznajemy, że tamte lata za historię, to w międzyczasie ukazało się sporo opracowań historycznych, które wiele minionych spraw wyjaśniły, ujawniły, przewartościowały. Stosunek do historii jest także częścią polityki. To nie jest prawda, co napisał jeden z polskich znakomitych pisarzy, że „kto mówi o historii jest zawsze bezpieczny, przeciwnie niemu nie wstana umarli”. Umarli wstają i potrafią protestować, potrafią wytknąć kłamstwo, niedokładność. Proszę zwrócić uwagę, że większość polemik w pismach literackich dotyczy właśnie historii, takiej czy innej oceny jakiegoś faktu z przeszłości. Polemizują oczywiście, nie umarli tylko żywi, ale to znaczy, że na ludzi współczesnych historia wywiera ogromną presję, stosunek do przeszłości jest częścią stosunku do współczesności. Wydaje mi się, że istnieje ogromny głód powieści politycznej, dotyczący minionych lat. A byłoby to powieści na pewno kontrowersyjne. Ostatnio zresztą, na półkach księgarskich znalazły się dziesiątki różnego rodzaju książek o przeszłości, odważ się na sformułowanie, że nastąpił zalew różnego rodzaju wspomnień i wspomnień, dotyczących takich czy innych wydarzeń z niedawnej historii. Ale te książki nie niosą tego ogromnego ładunku emocji, jaki daje prawdziwa literatura. A jej ciągle jest brak, czytelnik wciąż na próżno szuka jej w księgarniach.

**ODGŁOSY:** A więc istnieje ogromne szanse dla powieści politycznej?

ZB. NIENACKI: Na pewno. Czas wciąż biegnie naprzód, nie jesteśmy zadowoleni z literatury o minionym okresie, a już życie nowe problemy postawiło przed literaturą. Przecież bieżący rok przyniósł w naszym kraju ogromne wydarzenia polityczne, związane z wypadkami marcowymi. Literatura nie może nie ustosunkować się do tego, co się stało. I bez dramatów i konfliktów rodzinnych zrodziły te burzliwe dni, jak wielkie nastąpiło zróżnicowanie postaw, iluż ludzi obnażyło się i moralnie, i politycznie? Te sprawy czekają na pisarzy. Ale powieści polityczna musi wpródy przełamać tę znowu milczenia, jaka ją otacza.

Rozmawiał:

ANDRZEJ MAKOWIECKI

KAROL BADZIAK

## Miłość ojczyzny nie jedno ma imię

MOTTO:

Plaszczyk sukienki nosi się na dwóch ramionach, ale płaszczyk moralności politycznej tylko zarzucony być powinien na jednym ramieniu, od strony serca.

KAROL LIBELT

Przynależność do narodu jest czymś obiektywnym. Przynależność do ojczyzny jest kwestią wyboru. Nasza ojczyzna jest Polska — ziemia naszych ojców. Jej najnowocześniejszą formą istnienia jest Polska Ludowa. Polskę odziedziczyliśmy po naszych przodkach, Polskę Ludową stworzyliśmy sami. Obie są ojczyzna jednego narodu. Pot, krew i kości wielu pokoleń złożyły się na jej kontynuację. Nie otrzymaliśmy jej z bożej łaski, została wypracowana w pocie czoła, wywalczona krwią poległych. Naród nasz nie ukradł jej po prostu zaszły na nią swym trudem, mozołem i heroizmem. Możemy być z tego dumni. Ale nie pyszni.

Ojczyzna socjalistyczna jest rezultatem wielowiekowych zmagania olibrzymich rzesz ludzkich o wyzwolenie społeczne i narodowe. Socjalizm dał impuls do renesansu ojczyzny i narodu. Wprowadził dezinterpretatorów marksizmu usiłovali nam przez dłuższy czas wmawiać, że wiezi narodowe stanowią antynomie więzi klasowych, że patriotyzm prowadzi do nacjonalizmu że stoi w sprzeczności z internacjona-

lizmem. Życie dowiodło, że byli w błędzie. Przeciwnością patriotyzmu jest nihilizm narodowy, zaś przeciwieństwem internacjonalizmu, jest ciasny nacjonalizm.

Dylemat między poczuciem patriotycznym a internacjonalistycznym wzniesionym zostaje z chwilą usunięcia sprzeczności między interesami narodowymi a interesami klasowymi. A tak się właśnie dzieje w państwach socjalistycznych, gdzie partia robotnicza po objęciu władzy przekształca się w partię ogólnonarodową oczywiście z utrzymaniem hegemonii i supremacji klasy robotniczej. Dlatego też w naszym kraju dyskusja, na temat co jest ważniejsze, co jest pierwsze socjalizm czy patriotyzm jest dyskusją werbalną. Patriotyzm i socjalizm się utożsamiają, stanowią równorzędne wartości, nie są pojęciami alternatywnymi, zresztą w sensie marksistowskim nigdy takimi nie były. Ustrój socjalistyczny rozwikłał podstawową sprzeczność między interesami klasowymi, a interesami narodowymi. Nigdy jeszcze w Polsce nie było takiej zbliżności między nimi jak obecnie. Na tym polega właśnie wyższość naszego systemu.

Przekładając te dialektyczną interpretację na język codziennych postaw można powiedzieć śmiało, że najlepszym patriotą jest komuniści, i najlepszym komunistą jest patriota. Oczywiście nie wyklucza to ani nie odbiera prawa innym do miłości ojczyzny. Tylko, że patriotyzm jako taki jest kategorią moralną, polityczną, a świą domość przynależności do określonej klasy i narodu ma znaczenie ideologiczne. Jeszcze prościej można to ująć w sposób następujący. Patriotyzm w dawnym pojęciu był kategorią w zasadzie polityczną, patriotyzm socjalistyczny wzbogacony został o treść ideologiczną. Wiąże się to ściśle z naszym pojmowaniem narodu. Dla Libelta na przykład naród to była unia duchowa pewnej społeczności, wspólnota krwi i pochodzenia. Na gruncie marksizmu taka koncepcja jest na ogół nie do przyjęcia. Wedle marksistowskiej teorii naród to historycznie wytworzona wspólnota losu, tradycji, kultury, języka, terytorium i wspólnota ekonomiczna. Na podstawie tych czynników rodzi się to co nazywamy świadomością narodową. Brak

choćby jednego z tych elementów, na przykład terytorium, świadomości narodową stopnia. Dlatego też na wynarodowienie najszybciej narażeni są Polacy na emigracji. Synowie i wnuki emigrantów czują się jeszcze w pewnym stopniu Polakami. Lecz prawniki z reguły już tracią poczucie świadomości narodowej. Przytują w to miejsce, rzecz jasna, inna świadomość. Jako że nie ma alienacji kompletnej, absolutnej. Może nastąpić wyobcowanie z jednego narodu, z jednej klasy, lecz natychmiast zaczyna się lgniecie do innego narodu, do innej klasy. Jesteśmy naoczniymi świadkami takich procesów. Człowiek autentycznie związany z narodem, z ojczyzną, z klasą robotniczą, nigdy swoich nie zdradzi. Zresztą dobrowlna emigracja, wyjazd, pozostanie za granicą jest ostatnim aktem wyobcowania, a nie początkiem, jak to się zwykło potocznie mówić i mniamać. Zerwanie więzi, zwłaszcza z kulturą, z językiem, z losem, z historią własnego narodu powoduje okaleczenia, rany, które się już nigdy nie zablizniają. Nostalgia jest chorobą nieuleczalną. Warto tutaj dodać, że intelektualści, artyści, którzy się wyobcowują ze swego narodu tracą o wiele więcej niż zwykli zjadacze chleba. Niestety, właśnie ci ludzie, jak również i technokraci są najbardziej podatni na wyobcowanie, wynarodowienie, choćby ze względu na charakter swych zajęć. Ilustracją jest tutaj na przykład podatność zachodnioeuropejskich technokratów na „drenaż” mózgow. Zresztą nie tylko emigracja na zewnątrz, ale nawet emigracja wewnętrzna od życia narodu przynosi im samym więcej szkody niż społeczeństwu.

Jak wykazały dzieje naszego narodu patriotyzm jest największy w ludzi. Jest on obok ewidentnej dążności do sprawiedliwości społecznej jedną z najbardziej dynamicznych sił tego ludu. Niedocenianie tej siły prowadzi do dezintegracji, do rozluźnienia spójności narodowej, a w konsekwencji do osłabienia.

Cóż, tak się złożyło, taka była historia naszego narodu, że imponderabilia ceniliśmy zawsze wyżej niż realia. Stałe zagrożenie z zewnątrz spowodowało, że na plan pierwszy eksponowaliśmy bohaterstwo i waleczność jako cechy najwyższe-

go patriotyzmu. Ze tak się stało, wcale nie jest źle. Dzięki temu może w oróle istniejemy jako naród posiadający własne państwo. Niestety, ucząc się patriotyzmu na polach bitewnych nie mieliśmy czasu na naukę patriotyzmu w czasie pokoju. Tymczasem poświęcenie w pracy podczas pokoju jest czynem równie patriotycznym co poświęcenie w walce podczas wojny. Dlatego też osmieśnianie bonaterstwa Kozietulskiego jest równie szkodliwe, co kpinny z pracowitości Pstrawskiego. O Kozietulskiego miał odwagę upomnieć się pułkownik Zbigniew Żałuski, o Pstrawskiego nikt dotychczas nie miał odwagi się upomnieć. Pracowitość nie funkcjonuje bowiem w pełni w świadomości społecznej jako cecha wzorowego Polaka.

To nie przypadek, że sztyrdery podkopujący w swoim czasie uczucia patriotyczne, w równym stopniu usiłovali kompromitować bohaterów walki jak i bohaterów pracy. Dziś wprowadzili już nikt nie wadzi w potrzebie wychowania patriotycznego, jednakże patriotyzm jako instrument pedagogiki społecznej nie jest jeszcze w pełni wykorzystywany. Choćby na przykład w takiej sprawie jak skodnicтво gospodarce. Przystępczość gospodarza traktowana jest tylko jako czyn o charakterze aspołecznym i antysocjalistycznym. A przecież walka z tą plagą mogłaby dać o wiele lepsze wyniki, gdyby zaszczeenił w świadomości ogółu przekonanie że kradzież czy marnotrawstwo mienia społecznego jest także czynem antypatriotycznym, antynarodowym. Tak przecież w istocie jest.

Miłość ojczyzny nie jedno ma imię. Jest to miłość żywna, bogata, wszechstronna, święta od święta, codzienna na co dzień, rozumna sercem, wierna mądrością, dojrzała ukochemiem. Miłość oteczyzny to miłość tej ziemi, i której wyrosłiśmy i do której przyjdzie nam wrócić. Ziemi, dla której pracujemy, a w razie potrzeby gotowi jesteśmy z honorem oddać swe życie.



# Aktor istnieje dla widza

**P**elna wdzięku, uroku osobistego, popularna i utalentowana Barbara Krafftówna należy do tych nielicznych aktorek, które cieszą się nie tylko sympatią widzów, ale i uznaniem krytyki. Sympatią i uznaniem w pełni uzasadnionym. Bowiem Barbara Krafftówna tworzy przepojone prawdą psychologiczną, ciekawe, opracowane w każdym szczególe, pełne finezji kreacje aktorskie. Jej koncepcje i propozycje są trafne w środkach aktorskich zarówno w grotesce, dramacie, komedii, w rolach współczesnych, jak i kostiumowych.

W swojej karierze aktorskiej odniosła sukcesy zarówno w filmie — rewelacyjna rola Felicji w „Jak być kochaną”, za którą aktorce przyznano nagrodę za najlepszą rolę kobiecą na MPF w San Francisco — w teatrze, zapisując się w pamięci widzów szeregiem znakomych kreacji, przypomnijmy choćby role w „Paradach” Potockiego, „Iwone, księżniczce Burgunda” Gombrowicza, „Ślubach panińskich” Fredry czy „Żywocie Józefa” Reja — jak i w telewizji. Przypomnijmy, że jest laureatką Srebrnej i Złotej Maski TV, że połowa Polskiej nutki wylansowana przez nią piosenki „Uśmiechnij się, jutro będzie lepiej” i „W czasie deszczu dzieci się nudzą”.

A więc teatr, telewizja, film. Trzy różne środki wyrazu wymagające od aktora elastyczności, wszechstronności opanowania sztuki aktorskiej i umiejętności wyzucia specyfiki sceny teatralnej, planu filmowego czy telewizyjnego.

— Czy zaangażowałabym się na stałe do filmu, telewizji, gdyby to było u nas praktykowane, tak jak w przypadku teatru? Oczywiście, że nie. Aktor jest skomponowany z widzem. Dla niego istnieje. Musi się z nim spotykać. Ani film, ani telewizja nie dają tych możliwości.

Ale w filmie aktor może się chyba pełniej wypowiedzieć i sugestywniej przekazać swoją osobowość. — To moim zdaniem są bardzo rzadkie wypadki. Na scenie podkreślenie odrębności i indywidualności, wyeksponowanie pewnych momentów i efektów zależy tylko od aktora. W filmie wszystko to uwarunkowane jest pracą całego zespołu, przede wszystkim reżysera, operatora, charakterystatorów, montażu. Ponadto grając w filmie aktor musi dostosować się do całego zespołu środków technicznych. One go ograniczają. A i czasem czynią bezsilnym.

A więc w filmie aktor nie jest jedynym autorem kreacji?

— Niestety, nie. I dlatego pojęcie aktor równa się dla mnie pojęciu teatr. Trzeba sobie powiedzieć, że szkoła aktorska nie jest warunkiem sine qua non występowania w filmie. Aktorem filmowym potencjalnie może być każdy. Reszta zależy od reżysera, operatora. Film, to dla aktora ciężka, wyrobnicza praca. Teatr, to ekscytacja. Każdy spektakl bez względu na to ile razy jest grany — to nowe emocje i przeżycie.

Co w takim razie daje aktorowi film, telewizja? — Rzecz szalenie istotna. Możliwość poszerzenia emplot. Teatr to tylko kilka premier w roku. Film i telewizja to ciągle coś innego. Bogaty wachlarz form. Różnorodność spektakli — od dramatycznych do lekkich, rozrywkowych. Stwarza to możliwość ciągłej weryfikacji i odświeżania środków aktorskich.

Które role lubię najbardziej? Wszystkie. I współczesne, i kostiumowe, komediowe i dramatyczne. Sądzę, że zmiana jest dla aktora konieczna. Kiedy na przykład po filmie „Jak być kochaną” — zaproponowano mi rolę o charakterze dramatycznym-psychologicznym — odmówiłam. Za bardzo byłam jeszcze pod wpływem tamtej roli. Chciałam mieć czas, by się od niej „wyzwolić”, by uniknąć nawet podświadomego powtarzania się. Poza tym, może to ostatnio niemożliwe — ale lubię role



Fot. T. KUBIAK

kostiumowe, stylowe. Wnoszą nie tylko bogactwo w strojach i inny kolorysty — ale to, co dla aktora jest najatrakcyjniejsze — inne elementy ruchu, gestu, barwy głosu.

Pyta pani, co oprócz talentu pozwala mi na trafne kształtowanie kreowanych postaci? — Krakowska szkoła Ivo Galla. Wiele jej zawdzięczam. Obok tajników warsztatu aktorskiego wyniosłam z niej nie tylko wiedzę o wspaniałej kulturze i sztuce epok minionych, ale i wzbogaciła ona moje spojrzenie na świat i ludzi. Czy bohaterem użyć swoich przeżyć, odczuć, doświadczeń? — Nie tylko. Czasami wyposażam ich w pewne cechy z wyobraźni. Czasami korzystam z obserwowania ludzi.

Które role dają mi największą satysfakcję artystyczną? — Trudno dać jednoznaczną odpowiedź na to pytanie. Dla mnie satysfakcja artystyczna — to wypadkowa wielu spraw. Ale głównie dostarczają mi jej te role, które zmuszają do szukania nowych rozwiązań, wzbogacają o nowe formy wyrazu aktorskiego. Drugim ważnym źródłem zadowolenia z roli jest zaaprobowanie jej przez widzów. Ale nie to jednorazowe na spektaklu w teatrze czy seansie w kinie — lecz jakis trwały ślad tego jednorazowego przeżycia w ich pamięci.

Nad czym pracowałam ostatnio? — Przez kilka miesięcy nad rolą Tytania w „Śnie nocy letniej”. Niestety, choroba, nie pozwoliła mi na wzięcie udziału w premierze. W telewizji przygotowujemy obecnie następny program z cyklu „Divertimento”. Niedawno też skończyłam zdjęcia do filmu „Przygoda z piosenką”, w którym odtworzam epizodyczną rolę właścicielki paryskiego pensjonatu.

Jakie miejsce w mojej pracy zajmuje piosenka? — Duże. Uważam, że piosenka wykonywana na estradzie, w odróżnieniu od piosenki nagrywanej w radio lub na płycie, poza wartościami muzycznymi powinna łączyć elementy plastyczno-kompozycyjno-ruchowe.

Czy popularność jest męcząca? — Pani Krafftówna uśmiecha się. — O, tak. Ale to pełne ciekawości spojrzenia znakomicie rozumiem. Gdybym miała okazję zobaczyć kogoś popularnego, kogo znam tylko z fotografii — tuż obok siebie — też bym się starała dokonać konfrontacji. Zapamiętać twarz, poszukać cech niezwykłych. Dlatego też aktorowi, którego pesza spojrzenia przechodniów — pozostają do spacerów puste, boczne uliczki.

Notowała: JADWIGA PYCZEWSKA

EUGENIUSZ IWANICKI

# SŁOWO O MĘDRCU

W XIV wieku w dorzeczu Syr Darii i Amu Darii, rozciągało się ogromne państwo cha na Uzbeka, który przy pomocy ognia i miecza zjednoczył kilka szczepów w federalne państwo. Ale największą sławę zdobył jego następca, król i dziki Tamerlan, nazywany Timurem Kulawym, który urządzając rzezie całych plemion i prowincji zdobył obszar od Chin aż po Morze Czarne. Stolica państwa Samarkanda stała się jednym z najpiękniejszych i największych miast Azji. Tu powstały uniwersytety, wspaniałe pałace sultanów, szpitale i domy dla naukowych dysput, olbrzymie biblioteki i sale muzyczne. Tu poeci układali niezrównane liryki pod dźwięki jękiwych strun i tu genialny astronom Uglubek śledził odwieczne drogi planet i gwiazd.

I oto do tego miasta w drugiej połowie XV wieku przybył syn bogatego feudała o nazwisku Nizam — ed — din Aliszer, który później jako Aliszer Nawoi rozszalał ziemie ojczystą na cały świat. Był to niezwykle młodziwiec, który mając zaledwie cztery lata umiał układać wiersze. Kiedy w jakiś czas później przeczytał staremu poecie Lufti swój dwuwiersz: „Gdy ona zakrywa swą twarz, z moich oczu płyną łzy. Podobnie gdy słońce skryje swe oblicze — na niebie pojawiają się gwiazdy”, ten wykrzyknął w uniesieniu: „Kłnę się Allahem, że z rozkoszą zamienilibym na te gązle dziesięć lub dwanaście tysięcy swych wierszy!”

W krótkim czasie Aliszer Nawoi zdobywał, jak na ówczesne czasy, ogromne wykształcenie. Zajmuje się filozofią, retoryką, historią, poetyką, kosmografią, gramatyką, architekturą, irygacją, muzyką, malarstwem, introligatorstwem. Pisze w języku staro-uzbeckim i perskim. Jego nazwisko Nawoi (co oznacza Melodyjny) stało się sławne w całej Azji. Po kilku latach porzucił Samarkandę i na zaproszenie sultana Husseina Bajkara udaje się do Geratu gdzie otrzymuje godność emira i wezyra. Tu rozpoczyna pracę nad umocnieniem państwa i władzy sultana. Ale jest przeciwnikiem krwawych porachunków, wojny, skrytobójstw i publicznych egzekucji, którymi w owe czasy zabawiano się dla prostej rozrywki. Wkrótce staje się drugim człowiekiem w państwie i pierwszym w dziejach swego narodu mecenasem, popierającym ludzi nauki i sztuki.

Na ten okres przypada także rozwój twórczości Aliszera Nawoi. Powstaje genialna „Hamse” — pięć epickich poematów w języku staro-uzbeckim: Trwoga sprawiedliwych, Farchad i Szirin, Lejli i Medżnin, Siedem planet oraz Wal Iskandera. Ażby mieć pojęcie o rozmiarze tego dzieła, warto przypomnieć, że „Hamse” posiada ponad pięćdziesiąt trzy tysiące wierszy, to jest o trzy i pół raza więcej niż Boska Komedja, a o cztery razy więcej niż Odysseja. A napisał ją Nawoi w ciągu niezwykle krótkiego okresu, bo zaledwie w ciągu dwu lat. Obok tego powstają „Czar — dywan” zbiór lirycznych, melodyjnych niby orientalna muzyka, wierszy.

Ale obok muzyki i poezji kwitnie w sultanacie donosić cięstwo, zdrada, krzywozmysłość i zazdrość. Genialny mędrzec zostaje znienawidzonym przez dworaków, którzy knują zemstę. Zawisze szepcze do ucha sultana Husseina Bajkara najbardziej nieprawdopodobne oszczerstwa, żądając śmierci Aliszera Nawoi. Sultan, omdlewający w czasie czytania poezji, był jednocześnie krwawym tyranem urządzającym publiczne kaźnie. Był gnusny i tchorzliwy. Nienawidził dworaków odniosła zwycięstwo: Nawoi zostaje zesłany do Astrabadu. Jednak uparty starzec wraca samowolnie i przy czynia się do wykrycia spisku przeciwko sultanowi. To go ratuje. Jednakże nigdy już nie powrócił do łask, a jego dom pozostawał do końca pod nadzorem. A umierający poeta pisał, że „najpiękniejsza z kwiatów są kwiaty życia”.

Aliszer Nawoi zmarł 3 stycznia 1501 r. przeżywszy 60 lat. Znaczenie myśliciela i poety Aliszera Nawoi jest ogromne. Wzobogacił i doprowadził do doskonałości uzbecki język literacki, a jego utwory stawia się na równi z utworami Dantego, Rudaki, Firdausi, Nizami, Dżamiego i innych geniuszy. W swoich utworach stawiał pracę i braterstwo narodów, humanizm i miłość, śpiewał o odwiecznej tęsknocie za wolnością, przepowiadał triumf światła i rozumu. Europa swoich wielkich mężów nazywała myślicielami, Wschód — mędrkami. Takim mędrcom był Aliszer Nawoi.

W dziesiętej stulecie Uzbekistanu, Taszkencie, w teatrze imienia Aliszera Nawoi odbywały się inscenizacje jego poematów, prozekt jego imienia jest jednym z najpiękniejszych, a w każdym mieście wznoszą się pomniki ojca poezji uzbeckiej. Najwyższym holdem narodu dla wielkiego mędrca jest nowo powstające miasto nazwane jego imieniem.

Pisząc niniejszy szkic chciałem przypomnieć polskiemu czytelnikowi o wielkim Uzbeku, którego dzieła ciągle jeszcze czekają na polskiego tłumacza.

☆☆☆

Dla zachowania stałej równowagi naszej rubryczki — raz w tygodniu prezentujemy dwa filmy — kilka zdań o filmie, które na pewno będzie serdecznie bawić naszą publiczność. „OPERACJA — ŚWIETY JANUARY” D. Risiego to gangsterska komedia we włoskim stylu. Pomysł scenariuszowy, może nie najnowszy, potrącono wykorzystanie dla skonstruowania dwóch światów przestępczych — wyrafinowanych gangsterów z oceanu i uroczych mieszkańców Neapolu, którzy pozostając przestępcami, pełnią swój fach w sposób tyle samo perfidny, co naiwny. Rozegrany w kolorycie miasta, w tłumie jego mieszkańców napad na skarb św. Januarego pozwala reżyserowi jeszcze raz pokazać piękno Neapolu, i jego niepowtarzalną społeczność. Toto, Manfredi i bardzo popularna dziś sex-bomba S. Berger wnoszą do filmu wiele humoru i uroku. Ten film to dobra rozrywka, w której nie znajdujemy wiele ze znakomych popularyzacyjnych filmów włoskiej kinematografii.

E. N.

## O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Trwające od kilku lat prace nad filmową adaptacją „Lalki” B. Prusa dobiegły końca. Prezentacja szerokiej publiczności „LALKI” Wojciecha J. Hasy stała się faktem. Brak miejsca w naszej rubryczce nie pozwala nam dokonać głębszej analiz porównawczych, których zresztą zdołał zrobić to w sposób oddający sprawiedliwość zwycięzcy i pokonanemu. Jedno jednakże jest pewne, że, niestety, pokonanym musi się poczuć reżyser filmowej adaptacji „Lalki”. I znów trzeba by mówić o problemach, o których mówiło się niejednokrotnie przy okazji wszelkich adaptacji wielkiej literatury. Darujemy to dziś sobie. Spróbujmy być choć trochę sprawiedliwi.

Przy tym poszukiwaniu obiektywności oceny musimy z góry założyć, że Hasy adresował ten film do tych milionów Polaków, którzy dobrze literacki pierwowzór znali. Tych czytelników „Lalki” obdarzył reżyser serią ożywionych obrazów i ilustracji do książki. Bohaterów powieści Prusa obdarował autentycznym ludzkim bytem i aktorów wcielających się w postaci tych bohaterów poprowadził znakomicie. Nikt z nas nie potrafił oprzeć się słowom absolutnego uznania dla gry Fiejewskiego — Rzeckiego. Kreczmara — Łęckiego i dziesiątkom postaci epizodycznych. Wszyscy zachwycać się będziemy nie tylko urodą Izabelli w interpretacji B. Tyszkiewicz, która zaraża swa postać trochę wbrew samemu Prusowi, ale zdo-

łała nas o swych racjach przekonać. Większe opory budzi M. Dmochowski w arcytrudnej roli Wokulskiego, podziwiać można z jednej strony jego aktorstwo, ale z drugiej również odwagę, gdy w ciągu jednego roku zmienia kostium po to, by być Augustem Moenym, Stanisławem Wokulskim i Janem Sobieskim.

Bedziemy w filmie podziwiać piętyzm i bogactwo rekwizytów, które wprowadzają nas w ten dziwnie niegustowny, a dziś już atrakcyjny, bo będący dokumentem epoki, świat wnetrz arystokratycznych i mieszczańskich salonów końca XIX wieku.

To wszystko co wyżej powiedzieliśmy jest prawdą, ale prawda, która nie zadowoli miłośników znakomitej prozy Prusa, zaś tym, co ja mniej znam nie przyniesie nawet cząstki wrażeń i wiedzy, która wynosi się z literackiej lektury „Lalki”. Jak się rzekło bowiem film jest zlepekem mniej lub bardziej atrakcyjnych ilustracji do powieści. Nie zdołał bowiem Hasy wiele powiedzieć o trudnych sprawach tamtej epoki, nie dokonał tego nawet najbardziej osobistego wyboru, który musielibyśmy brać pod uwagę, oceniamy wartość filmu, który włożył w swój film „Lalka” Hasy nie jest bowiem w pełni ani obrazem epoki, ani prezentacją postaw ideowych czy życiowych swych bohaterów. Tylko czytelnicy książki wie-

dza na czym polegał tragizm postaci Wokulskiego, a co swa postawą reprezentował Rzecki. Świat romantycznych czy pozytywistycznych postaw ludzkich zagubił się wśród biuletów, mebli, męskich fraków i surbraków, a w tle, jakby nie było, historia Rzeckiego i Wokulskiego to w filmie tylko historia przyjaźni dwóch mężczyzn. Dmochowski często z dużą kulturą wcielając się w postać Wokulskiego, nie zdołał nas jednak przekonać o tym, co stanowiło słabość, a co siłę jego bohatera, nie zdołał nam nawet uwierzyć w jego tragiczną miłość czy namiętność do panny Izabelli. Niestety, i z postury i z działania był tylko kupcem, co przecież u Prusa nie było tak proste. Ten brak zdecydowania ujawnił się również silnie w scenograficznej i plastycznej stronie filmu. Zapełniamy szkielet dla widza stają się kontrasty dostojne w sposobach potraktowania poszczególnych scen filmu. Reżyser, scenograf i operator filmowej „Lalki” z zupełnym spokojem wypraszają nas z salonów czy kupieckiego sklepu odtworzonego z realizmem i pietyzmem dla epoki po to, by przednieć nas na potwornie męczącą ulgę Krakowskiego Przedmieścia czy na zapelnym surrealistycznym Powislu.

Nie narzekamy jednak zbyt wiele, bo jest w tym filmie naprawdę sporo pięknych rzeczy i to nie tylko w sensie dostojnym, tzn. tych, które

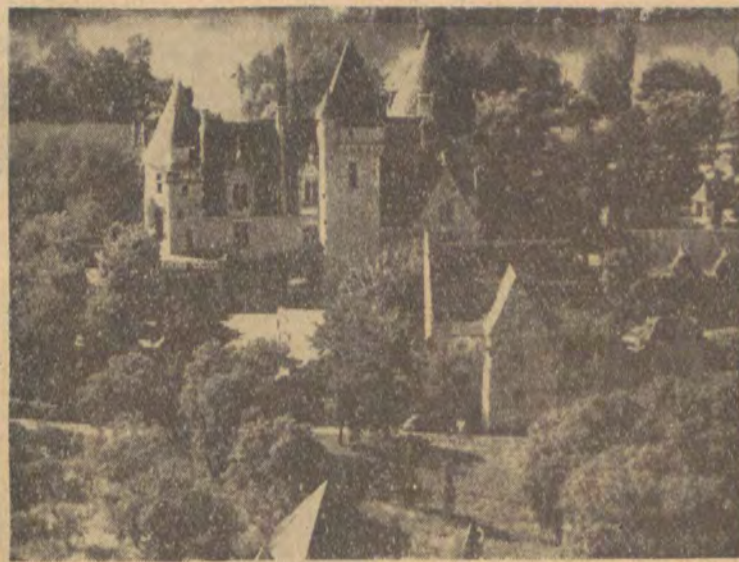
## O FILMACH DOBRZE I ŹLE

wypożyczono z muzeów czy z „Dejusy”. A zresztą cokolwiek powiedzieliśmy o tym filmie i tak prawie wszędzie na półdłoni i nie potrafimy powiedzieć, że nie warto.



# Kto, co, kiedy?

relacje  
niedyskrecje



JÓZEFINA BAKER  
OPUSZCZA SWA  
POSIADŁOŚĆ

▲ Józefina Baker, słynna niegdyś tancerka i śpiewaczka, ciemnoskóra królowa music-hal-lickich przedsiębiorstw we Wrocławiu. Pracowała rozwoząc wózek deski. Gdy przemierzała miasto ciągnąc ów wózek wylądował na niej Niemiec, zderzył się z nią, hamował, zderzył się z nią, wymyślając mu „ty brudny Francuzie”. Pewnego dnia zebrał się na odwagę i zgłosił do dyrektora wrocławskiej opery. Może przyjmą go jako tancerza w balecie? Dyrektor spojrzawszy na chłopca, „Zobaczmy — powiedz mi, czy potrafisz tańczyć? — Ale jeżeli nie potrafisz, spróbuj gdzieś cię drogo kosztować”. Guy zatańczył. Dyrektor powiedział: „Jeszcze nigdy nie widziałem tak złego tancerza, ale masz niezłą mimikę. Mogę cię przyjąć”. Tak więc Guy d'Arcangues został we Wrocławiu baletmistrzem. Po wojnie wrócił do Francji, gdzie został redaktorem pisma poświęconego modzie. Uprawia z powodzeniem grę w golfa. Na jakieś czas przerwał swe wszystkie zajęcia, aby napisać pięćsetstronicową książkę o swych wojennych przeżyciach. Niestety, „Paris Match” nie podaje żadnych innych szczegółów na temat książki pt. „Ślązak”.

posiadłość Les Milandes, gdzie wychowuje dwunastoletniego adoptowanego dziecka różnicy narodowości. Niestety, jej występ w paryskiej Olimpiadzie nie przyniósł spodziewanego dochodu. Posiadłość Les Milandes, gdzie znajduje się wspólnie z dziećmi w posiadłości do 15 marca przyszłego roku, została sprzedana. Józefina Baker w ciągu 29 lat włożyła w ów majątek miliony franków, obecnie otrzymała zaledwie trzynastą część wartości i uzyskała jedynie pozwolenie na pozostanie wraz z dziećmi w posiadłości do 15 marca przyszłego roku.

lem Nowożytników. W roku 1687 odczytuje w Akademii poliemiczny poemat pt. „Wiek Lu-tiwka XIV”. Jest to



Ilustracja Gustawa Doré do bajki „Tomcio Paluch”.

gwaltowny atak na Starożytników, którym przewodził Boileau i La Fontaine. Poemat wywołuje ogromne poruszenie w świecie literackim. Sy-pia się repliki, broszury polemiczne, ulotki.

Ostatnio w Paryżu ukazała się praca pt. „Les Contes de Perrault” (Bajki Perraulta), której autorem jest Marc Soriano. Autor, w książce liczącej ponad pięćset stron, poddaje psychologicznej analizie teksty bajkopisarza i stwierdza, że Perrault miał kompleks niepełnowartościowości. Jak się to stało? Otóż Charles Perrault urodził się jako bliźniak (poza tym miał jeszcze kilku braci) i to ten, który przyszedł na świat jako drugi. Gdy ów starszy brat miał pół roku — umarł. Odtąd dzieciństwo Charlesa upływa pod ciągłym wrażeniem śmierci swego starszego bliźniaka. Czuje się tak, jakby był winien śmierci brata, cierpi z tego powodu i jest bardzo nieszczęśliwy.

## FRANCUZ O WOJENNYCH PRZEŻYCIACH WE WROCŁAWIU

▲ Jak informuje paryski tygodnik „Paris

SMUTNE  
DZIECIŃSTWO  
CHARLESA  
PERRAULTA?

▲ Któż z nas nie pamięta uroczych bajek o „Czerwonym Kapturku”, „Królewnie Śnieżce”, „Kopciuszku”, „Tomciu Paluchu”? Nasze pociechy wprawiają się w czytaniu na tych właśnie książeczkach. Rzadko jednak łączy się te bajki z nazwiskiem ich autora Perraulta. Z obfitej działalności pisarskiej Charlesa Perraulta, a był on poetą, autorem traktatów, polemik i bajkopisarzem, dziś tylko jego bajki pozostały wciąż popularne i czytane.

Charles Perrault (1628 — 1703) urodził się w elitarnej rodzinie w Paryżu. Pełnił funkcje zarządcy budynków królewskich, był współpracownikiem ministra Colberta i wywarł wielki wpływ na ówczesną politykę kulturalną Francji. Wszelkimi sposobami wykształcony wydaje w roku 1688



Ilustracja Gustawa Doré do bajki „Kot w butach”.

poemat pt. „Sur la peinture” (O malarstwie). W roku 1670 zostaje członkiem Akademii Francuskiej. Bierze żywy udział w wielkim sporze literackim między tzw. Starożytnikami, zwolennikami doskonałości antyku, a Nowożytnikami, sławiącymi postęp współczesności. Perrault jest wybitnym przedstawicie-

# Bez strachu

SLABI LUDZIE

Szybko wiejące wiatry historii rozwiały już dawno mity „Szarego człowieka” — „Prostego człowieka” — owych pupilków, owe primadonny literatury dwudziestolecia międzywojennego. Ta literatura broniła „Szarych” i „Prostych” ludzi, ostrzegała ich, zwracała się do nich z takim czy innym apelem jak do ostatecznie rozstrzygającej instancji, ta literatura obłudnie zakładała, że próci są skomplikowani a „szarzy” skrzępi się barwami tęczy, śniegu i błokatu. Istotnie bytom czysto myślowym można przypisać jednocześnie cechy, których istnienie wyklucza bytowanie przedmiotowe. „Prości” i „Szarzy” ludzie to ludzie dla takich czy innych celów wymyśleni, po to, aby przemawiać do nich z katedry własnej próżności — po to, by utwierdzić się w przekonaniu, jak dalece piszący i przemawiający jest prostokaty i złożony. Tak czy inaczej nie ma już „Szarych” i „Prostych” ludzi (nigdy ich nie było poza literaturą i obyczajową fikcją) — są natomiast Slabi ludzie. Slabi ludzie przetrwali wojnę, która zniszczyła silnych i klaniają nam się — często spotykamy ich idąc ulicą — bowiem człowiek Slaby, nieuporządkowany wewnętrznie i zewnętrznie spaceruje — być może liczy na to, że ruch go wzmożni — dotleni jego wycieńczony organizm. Zaczepiam jednego z nich i spacerujemy razem. „Jak się Pan czuje?” „Dziękuję, ale nieestetycznie, czuję się bardzo słabo”. „Na czym to polega?” „Trudno mi się skupić, nie mogę pracować, źle śpiam, stale się lekam to tego to owego. Uważam także, że trawi mnie choroba, ciężka beznadziejna choroba — chociaż lekarz powiada, że jestem zdrowy”. „Czy dobrze Panu z tym wszystkim?” „Jak Pan może pytać — cierpię”. Długo rozmawiam ze słabym człowiekiem. Umacniam go i pokrzepiam przez roztoczenie wizji własnej słabości przerastającej jego słabość o moc tysiąca słoni. Kiedy on powtarza, że jest chory, ja do niego, że umrę za parę dni i już krzaczam się wokół własnego pochówku. Potem zwierniam mu się, że nigdy nie pracowałem i pracować zgoda nie potrafie, że lekam się nie tego czy owego, ale wszystkiego. Slaby człowiek patrzy na mnie z radością — głos jego nabiera barwy, oko polskuje — idzie różnym krokiem. Przemawia do mnie udowadniając, że będę jeszcze długo żył, że widział i podziwiał moje liczne prace — mniama także, że jestem nieustraszony. Zaprzeczam mu w sposób sugestywny — spiera się ze mną głosem narzucającym radością i żegnając mnie wreszcie. Długa parze za odchodzący — dodałem mu ducha — nie było to zresztą konieczne, on istniał, istnieje i będzie istniał — on posiadał ziemię — jest przecież Slabym Człowiekiem.

BERNARD SZTAJNERT

## spektakle tygodnia

	spekt.	widzów	proc.
<b>TEATR WIELKI</b>			
„Cosi Fan Tutte”,	1	1260	100
„Książ Igor”,	1	1260	100
„Zemsta niełoperza”,	1	1260	100
„Tosca”,	1	1260	100
„Jeziorko łabędzie”,	1	1260	100
<b>POWSZECHNY</b>			
„Baba Dziwo”,	2	1200	100
„Kawior i kaszanka”,	3	1980	100
<b>NOWY</b>			
„Żeglarz”,	2	1400	100
„Gra miłości i przypadku”,	1	700	100
„Czerwone pantofelki”,	1	700	100
„Pierścień wielkiej damy”,	1	600	85
<b>MAŁA SALA</b>			
„Gra miłości i przypadku”,	3	600	100
„Szkłana menażeria”,	2	300	80
„Skiz”,	1	150	80
<b>JARACZA</b>			
„Każdy kocha Opalę”,	2	1260	100
„Poskromienie złośnicy”,	1	630	100
<b>7.15</b>			
„Stendhal i S-ka”,	2	800	95
<b>OPERETKA</b>			
„Hrabina Marica”,	5	5301	95
<b>TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ</b>			
„Okoliczność łagodząca”,	3	1162	100
<b>FILHARMONIA</b>			
2 koncerty symfoniczne	750	sluchaczy	65

## NOTES DOBRZE ZAPISANY

Kiedy na moment przed rozgraniem się lamp patrzę na nieczynny jeszcze telewizor, na formowaną atrapę z martwym szklanym okiem, myślę sobie, że ten techniczny sprzęt stwarza jak gdyby wszystkim programom równą szansę. Z obywatelnością posłusznego mechanizmu przekazuje nam zarówno wiadomości słabe, niedopracowane, jak i te, które mają smak prawdziwej sztuki. Ot, posłuszne zwierzęce podługowe, które jednakowo wyciąga grzebiel, niezależnie czy mu się na wóz należy cenny ładunek, czy też bezwartościowe śmieci!

Czasem aż żal serce ścisnąć, że precyzyjna, skomplikowana aparatura telewizyjna angażuje się w rzeczy blade, w których rozwiązania obrazowe nie poszerzają informacji słownych. W takich razach można by zadać pytanie: po co? Czy powinno się zajmować czas na antenie programami, które nie pokusiły się o znalezienie specyficznej telewizyjnej formuły dla przekazania zamierzonych treści?

Od czasu do czasu — niestety, niezbyt często — uczestniczymy w telewizyjnym świecie. Mam na myśli takie programy, które oddadają z głębią i przekonaniem, że to jest właśnie telewizja. Że autorzy

znaleźli właściwe rozwiązania i roztoczyli przed nami (dysponując tymi samymi środkami technicznymi, co i realizatorzy słabych pozycji programowych) bogaty świat telewizyjnej sztuki.

Takich uczuć doznałem właśnie podczas emisji „Notesu” Zdzisława Skowrońskiego w reżyserii Jerzego Antczaka. Nie oznacza to, że ze wszystkim się w tym spektaklu zgadzam, że wszystko mi się podobało. A jednak w programie tym telewizja przemówiła pełnym głosem. I dlatego zaliczam „Notes” do telewizyjnych szczytów.

Skowroński jest doświadczonym i niezwykle sprawnym autorem scenariuszy telewizyjnych. Znaczący to, że panując doskonale nad słowem i budując zreczyzny, autentyczny dialog, nie zapomina o stronie obrazowej w tym wyobraźni plastycznej, która każe autorowi odpowiednio nasycać dialog, by nie stał się on materiałem zbyt gęstym. Między poszczególne kwestie, a nawet między pojedyncze słowa włączając się swoimi środkami ekspresji. Muszą więc znaleźć się w tekście dostateczna liczba, zawieszona głosem, niedomówienia, by w to niedomówienie wprowadzić aktorski gest

i mimikę, zbliżenie scenograficznego detalu, ruch kamery, miksaż obrazów

W ocenie tych spraw bardzo trudno zresztą rozgraniczyć rolę autora scenariusza i reżysera. Jedno jest pewne, że Skowroński i Antczak dobrze się nawzajem rozumieją i że w miejscach, gdzie zawodzi intuicja jednego, natychmiast interweniuje drugi. Rzadko się zdarza, by popełniali błędy obaj jednocześnie i by błędy te sumowały się.

A teraz parę słów o dramaturgicznej stronie „Notesu”. Tkanki fabularnej dla swego scenariusza szukał Skowroński w wydanych przed wojną wstrząsającym dokumencie — „Pamiętniki bezrobotnych” oraz w powieści Dąbrowskiego „Niebo naszym dachem”, ukazującej drogę bezrobotnego inteligenta do świadomości i komunizmu. Ale te źródła inspiracji nie ograniczają w niczym totalnego autostwa Skowrońskiego w stosunku do „Notesu”.

„Notes” jest bowiem utworem pomysłowym jako widowisko. Nadał mu Skowroński formę ruchomego fryzu, albo wędrowni po płacie nędzy i niesprawiedliwości, jakie stworzyły stosunki społeczne przedwojennego Polski. Nieprzypadkowo użył słowa „piekło”. „Notes” nawiązuje do klasycznej dramaturgii „Boskiej komedii” Dantego. Sceptyczny i ironiczny Poraj wodzi młodego bezrobotnego Stefana po zakamarkach życia wielkomiejskiego niczym Wergiliusz Dantego po kręgach piekielnych.

Przed oczyma Stefana rozgrywa się jakby ponury spektakl, odbierający resztę złudzeń co do świata, w którym przyszło mu żyć. Świata, w którym samo ubóstwo było już przestępstwem, wyrzucało człowieka poza nawias społeczny, oddawało go na pastwę mundurowych policjantów i tajniaków. Cienki komentarz do tych spraw wygłasza Poraj, pozornie godząc się na panujące stosunki, ale

podkreślając całą ich absurdalność.

Gdyby szukać dalszych powiązań literackich „Notesu”, można by dopatrzeć się ich w słynnym „Ulyssesie” Joyce’a, a zwłaszcza w XV epizodzie, w którym Leopold Bloom towarzyszy Stefanowi! Dedalowi w wędrowce po dublińskiej dzielnicy domów publicznych. W scenie w domu noclegowym pobrzmiwały znowu echa „Na dzień” Gorkiego.

Ta część „Notesu”, która ukazuje peregrynację Poraja i Stefana, wywiera silne wrażenie. Zagęszczony obraz zia przybiera kształty nadrealne, apokaliptyczne. Z tego surrealistycznego świata rodem jest metaforyczna postać starego cyrkowca interpretowana poetycko przez Stanisława Miłskiego.

Zal pewien budzi druga część widowiska, w której Stefan po ukończeniu destruktywnej „edukacji” u Poraja, znajduje sobie innych przewodników: komunistów, a wraz z tym jasny program działania. To dojrzałe świadomości klasowej Stefana ukazane zostało przez Skowrońskiego w sposób anemiczny, znacznie mniej ekspresywny niż część pierwsza. Może zaważyła tu koncertowa gra Tadeusza Fijewskiego w roli Poraja, dla której trudno było znaleźć równoważny kontrpunkt. Fijewski stworzył postać niedziera — filozofa wieloletniostwa, wyposażoną we wszystkie atrybuty humanizmu i sceptycznej wiedzy starego człowieka o życiu.

W blasku kreacji Fijewskiego zbladł rzetelny z pewnością wysiłek aktorski Jana Englerta w roli Stefana, przez co zwieźnięta została w pewnym sensie końcowa wymowa utworu. Co nie zmienia ogólnej oceny, że „Notes” był notesem dobrze zapisanym. W naszej pamięci.

Władysław Olszany

Ponieważ przypuszczać należy, iż z powodów zasadniczych Czytelnicy nie znajdą omówienia ciekawego telewizyjnego spektaklu z ubiegłego tygodnia, pozwalamy sobie wypożyczyć kilkanaście wierszy ze stałej rubryki Władysława Orlowskiego, i poświęcić kilka słów jego sztuce „7 dni prezydenta”. Nagrodzona na konkursie na scenariusz telewizyjny sztuka włączyła się swą problematyką w tok dyskusji i rocznicowych podsumowań 50 lat niepodległości Polski.

„7 dni prezydenta” jednym przypomina, innym prezentuje po raz pierwszy. Jednym z tragicznych rozdziałów historii Polski, wtedy, gdy w latach dwudziestych próbowała kształtować swój nowy, niepodległy byt. Przedstawienie siedmiu dni prezydenckich rządów Gabriela Narutowicza pozwoliło autorowi pokazać to wydarzenie, które w tak krótkim czasie przerwały plany i zamierzenia polityczne, społeczne i ekonomiczne światła go, pełnego dobrych intencji demokracji. Zbyt może ogólnikowo zarzysowano w sztuce polityczne programy konkurujących partii czy organizacji i istotne to konfliktów ideowych, które sprowokowały zbrodniczy strzał. Dzięki sprawnemu dramaturgii zdołał jednak W. Orlowski oddać mechanizm metod i praktyk tych, którzy walczyli o władzę. Nie mała rolę odegrały tu również świetnie zarysowane sylwetki tych bohaterów sztuki, którzy teża bezpośrednio walczą i tych, którzy są jej obserwatorami.

Sprawną realizacją, reżyseria R. Sykały i dobre aktorstwo (Jerzy Przybylski, M. Szower, B. Sochnacki) podkreśliły wszystkie dobre cechy tego spektaklu, który, pozostając swoista lekcją historii, jeszcze raz udowodnił jak trudna rzecz jest sprawa władzy i odpowiedzialności, która spada na tych, którzy ją podejmują. E. N.



# TRUDNE ŻYCIE BOHATERKI DRAMATU

I.

Boeing 707 greckiej linii lotniczej OLIMPIC AIRWAYS, udający się do Aten z 85 pasażerami na pokładzie, drgnął i wolno potoczył się w stronę płyty startowej. Nagle znie ruchomiał, motory umilkły, a stewardessy z najmiłszym uśmiechem na ustach oznajmiły pasażerom, że lot jest wstrzymany, że proszą o odpięcie pasów i opuszczenie pokładu. Tylko załoga Boeinga nie ruszyła się z miejsca.

W kilka minut po opisanym wydarzeniu, przed port lotniczy zajeżdża długi sznur samochodów. Wsiadają z nich osoby towarzyszące Jacqueline Kennedy w drodze do zamordowanego prezydenta USA i jej dwojgu dzieciom — Johnowi i Carolinie. Jackie, jej dzieci, dwie szwagierki, rodzice i szereg innych bliskich jej osób, wsiadają teraz do opróżnionego Boeinga 707, który tym razem, już bez pasażerów, startuje do Aten. Niegdyś tylko król mógł wyprosić pasażerów z samolotu, żeby samemu zająć w nim miejsce. Dziś robi to dla Jackie Kennedy Aristoteles Onassis, właściciel i użył kownik greckiej linii lotniczej OLIMPIC AIRWAYS. Tylko dzięki tej królewskiej nieuprzejmości dowiaduje się świat, że wiadomość o ślubie Jackie Kennedy z Onassisem jest prawdziwa.

1.

Matrymonialne zamiary Onassisa trzymane w głębokiej tajemnicy, mimo że przez cień powiadomił on rodziców Jackie o zamiarze poślubienia ich córki. Od maja br., w Hyannisport, posiadłości Kennedych, odbyło się wiele rodzinnych narad na temat tego związku. Gdy nowinę tę wnieśli Bobowi Kennedym, wpadł w złość i powiedział: „Dajcie mi spokój z tą całą historią, mam dość trosk z

wyborami. Pogadamy o tym później”.

W sierpniu wiele szumu i komentarzy wywołuje dłuższy morski rejs Jackie i Onassisa na pokładzie jego jachtu „Christine”. Jacht jest bajecznie luksusowy, kabiny są wyłożone rzadko spotykanym drzewem, wanny z marmuru ze Sieny, a kominki z lapis-lazuli. W tym morskim rendez-vous bierze również udział Ted Kennedy, jednakże, jak odnotowują to wściebscy dziennikarze, bez żony. Podobno ma to o czymś świadczyć, ale to już są sprawy wielkiego świata. Tak czy inaczej, pilni obserwatorzy żądni sensacji wydedukowali, że wszystko to oznacza, iż więzy łączące Jackie i Onassisa nie są ani towarzyskie, a tym bardziej koleżeńskie. Jednak nie wystarczyło to do wyciągnięcia jednoznacznych wniosków o mającym się odbyć ślubie.

2.

Od chwili dramatu w Dallas, Jackie nie wie, jak ma prowadzić życie, a już zupełnie traci orientację po śmierci Boba Kennedy'ego. Często szano, gdy mówiła: „Czuję się, jak w klatce”.

Mieszka w apartamentach, które w najdrobniejszych szczegółach przywodzą jej na pamięć wspomnienie o Johnie, jego portrety, porozwieszane na ścianach, osobiste przedmioty codziennego użytku, meble. Jest to muzeum wspomnień, umyślnie stworzone dla Caroliny i Johna — Johna, aż po słynny i historyczny fotel na biegunach, który stał w jego gabinecie w Białym Domu, i który Jackie ustawia w najbardziej widocznym miejscu w pokoju dzieci.

Po straszliwym dramacie rodzinnym w Dallas, życie, które prowadzi wdowa wcale nie jest łatwe. Gdy czas powoli zaciera groźbę pierwszych dni



tragedii i gdy cała Ameryka otrząsa się z szoku, Jackie Kennedy zaczyna się przemieniać w coś na podobieństwo monumentu, który się ogląda i podziwia. Każdego dnia, zatłoczone autokary przystają w Hyannisport, a ciekawscy, uzbrojeni w Kodaki, oblegają posiadłość, nachodząc Jackie i jej dzieci. Jest to sytuacja absurda i nie do wytrzymania. Do trybu życia, prowadzonego w Waszyngtonie powrócić nie mogła. Była tam pierwszą damą Stanów Zjednoczonych. Biały Dom przeobraził na swój dom, na ich dom, a konstytucja dała jej zaledwie dwanaście godzin na jego opuszczenie, na zabranie zabawek dzieci, ubrania, bielizny. W ciągu tego czasu nie zdążyła nawet dobrze wyschnąć krew męża, która spła miła jej różową suknię. Trudno być drugą w mieście, gdzie było się niegdyś pierwszą.

Cała stara ekipa Kennedych opuściła Waszyngton. Wierni, młodzi intelektualści, którzy z entuzjazmem poszli za senatorem, a następnie za prezydentem, zostali jeden po drugim usunięci przez ludzi Johnsona. Bob Kennedy, Schlesinger, Sorensen, Pierre Salinger i inni. Takie zmiany to zjawisko normalne, ale dla Jackie są czymś przerażającym — powiększają otańczając ją pustkę.

Nie ma sensu pozostawać dłużej w Waszyngtonie. Bobby i Teddy Kennedy, siostra Lee, cała rodzina, namawia ją do opuszczenia tego miasta. Jedyną drogą ucieczki z Hyannisport prowadzi do Nowego Jorku. Jest tak wielki, że można tam żyć niezauważonym, nawet jeśli się jest Jacqueline Kennedy.

Zamieszkała w Nowym Jorku.

3.

Anonsując powrót Jackie do życia, jej siostra Lee wyraża na wiosnę wielkie przyjecie. Są tam pisarze, kompozytorzy, świat artystyczny, politycy, najbliżsi współpracownicy Johna w Białym Domu, wszyscy członkowie klauzury Kennedych, i najbliżsi przyjaciele. Słowem komplet. Dwie orkiestry, dania przy małych stołkach, tańce. Po raz pierwszy od piętnastu miesięcy występuje Jackie w białej sukni. Raz tańczy ze swym szwagrem „Stasiem” Radziwiłłem i idzie do siebie około pierwszej nad ranem.

Ale i w Nowym Jorku życie Jackie wpisano na hipotece legendy i ogromnej popularności Kennedych, które skazują ją na odpowiadanie na dwa tysiące listów tygodniowo.

Każdego dnia, o godzinie siódmej trzydziści rano, jest już na nogach, żeby zjeść śniadanie z dziećmi, a niekiedy odprowadzić je do szkoły. Jeżeli pozwala jej na to czas, dużo spaceruje po miejskim parku, często samotnie, nieraz z dziećmi. Chodzi pieszo około godziny dziennej, następnie na godzinę doświada konia. Gdy wraca do domu, żeby się przebrać, jest godzina 10—10.30. Później telefon do własnego biura prawnego i porządkowanie pierwszych korespondencji, dalej drobne sprawy dnia codziennego i wreszcie wyjście na miasto. Każdego ranka spotkanie w Komitecie „Kennedy Center”, lub w „J. F. Kennedy Library”. Często

przejażdżka w Białym „Fordzie”, prowadzonym przez kierowcę. Jackie dużo chodzi po Nowym Jorku. Ludzie patrzą na nią z żywą sympatią, oglądają się za nią, ale nikt jej nie zatrzymuje. Tak żyje.

II.

W roku 1923, mając 18 lat, postanawia emigrować i opuszcza Grecję, udając się do Argentyny. Gdy wysiada na ląd w Buenos Aires ma 60 dolarów w kieszeni. „Chcę być bogatym, trzeba mieć jakiś pomysł” — zawsze mówi Aristoteles Onassis. Ma taki pomysł: postanawia sprowadzać do Argentyny tytonie: turecki i bułgarski, niemal zupełnie nie znane na rynkach tego kraju. W przeciągu dwóch lat jego akcje tytoniowe wzrastają z 5 do 30 proc. Zarabiał okragłych 200 tys. dolarów. Nieźle, jak na początek. Nie ma zresztą jeszcze wówczas nawet dwudziestu lat. W 24 roku życia jest już greckim konsulem w Buenos Aires, co stwarza mu niezły start do dalszych interesów.

W roku 1930 zarabiał w Londynie swój pierwszy milion dolarów: odkupuje od Canadian National Railway 6 statków towarowych, po 20 tysięcy dolarów za każdy, podczas gdy wartość każdego z nich oceniano na 2 miliony dolarów! Był to okres głębokiego kryzysu w gospodarce światowej.

W roku 1930 Onassis nie mógł przewidzieć, że lata 1936—1956 będą złotym okresem transportu morskiego. Wskutek wojny w Etiopii, wojny domowej w Hiszpanii, drugiej wojny światowej, planu Marshalla, wojny w Korei, wojny w Indochinach, kryzysu sueskiego, i wreszcie agresji Izraela na kraje arab-

skie, narodziła się idea małego, spotykane zapotrzelowanie na środki transportu morskiego, co różnym awanturnikom stwarza nieograniczone możliwości biznesu na wielką skalę. Na fali tych wydarzeń wpływa również Onassis, wcielając w życie idee skromne, ale owocne. Różne to są interesy, nawet nie bardzo wiadomo jakie, dość, że dziś jest Aristoteles Onassis multimiliardem.

W tłumie, który bierze udział w żałobnych uroczystościach podczas pogrzebu J. F. Kennedy'ego, nikt nie zwraca uwagi na drobnego mężczyznę w dużych ciemnych okularach, idącego samotnie i incognito. Nikomu by do głowy nie przyszło, że jest to armator-miliarder.

Po raz pierwszy zetknął go los z Kennedym na południu Francji w roku 1952, przed tym jeszcze, nim J. F. Kennedy został prezydentem. Armator i senator spotkali się przypadkiem i wymienili kilka nie nie znaczących zdań. Jackie poznała Onassisa przez swą siostrę Lee, żonę Radziwiłła. W roku 1963 Jacqueline przyjęła zaproszenie Onassisa na „party”, jakie wydał na swym jachcie „Christine”. W kwietniu tegoż roku rozpoczęła się ich historia. Historia awanturnika, który odnosi kolejny sukces życiowy, tym większy, iż zaspokaja on jego ambicję, łącząc jego los z losem najslawniejszej kobiety na świecie. Historia bohaterki tragedii, która nie chce już nosić maski, żałobnych strojów, nie chce stygmatu wspomnień i nagłe, zmęczona, woli znaleźć się na łamach gazet, niż korzystać z wyjątkowo uprzywilejowanego stanowiska, które ofiarowała jej Ameryka.

(Oprac. Sł.)



Lewym  
okiem

KAMIEŃ W WODĘ

Gdzie się nie ruszyć, z kim się nie zadać — niechlujstwo w zalatwianiu najbardziej oczywistych spraw rośnie zastraszająco. Smutna jest dola każdego z nas. Każdego — tych niechlujów także, bo zaraz za progiem swojego miejsca pracy oni też są patentami, interesantami, klientami nabywanymi w butelkę. Ledwie dostrzeżanymi z taski, potrącanymi nonszalancko i cynicznie. Wszędzie, wszędzie to samo.

Przypadkowo dowiedzieliśmy się w maju tego roku od znajomej pani, że Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze organizuje w czerwcu obóz żeglarski w Gardnie Wielkiej. W biurze PTTK dowiedzieli się o tym ode mnie, dali się jednak przekonać, córka zaczęła sobie wyobrazać, zapłaciła i pojechała. Był jeszcze jeden pan z drugiego końca Polski. Też dowiedział się prywatnie od znajomej pani, też tamtejszy ośrodek PTTK upił się i zalatwił. Tak więc był opóź żeglarski dla dwóch osób (słownie dwóch). Instruktor dojeżdżał ze Słupska.

Cały sprzęt do dyspozycji. Żyć nie umierać. Tylko żeby żyć trzeba jeść. A miejscowa gospoda, z którą kosztantki PTTK miały umowę, odmówiła gotowania dla dwóch osób, bo plan wyrabia bez gotowania samą wodką i śledzikiem.

Dwoje kandydatów na żeglarszy zażądało zwrotu gotówki, otrzymali ją i żywił się jak się dało. Oczywiście, inaczej kalkulując się zbiorowe żywienie, inaczej indywidualna pogoda za byle czym w pustkowiu z dala od miasta. Zwyczajne wystawienie do wiatru, mimo zwrotu pieniędzy. Zwyczajne niechlujstwo i nonszalanca. Śmierć frajerom.

Instruktor jednak dojeżdżał i ktoś mu za to płacił. Kandydaci (słownie dwoje) uczyli się teorii, ćwiczyli, dawali egzaminy. Córka też zdawała, wiem co mówię, lpy nie ma. Na dowód... nie, nie ma żadnego dowodu. Żeby otrzymać legitymację żeglarską należy osobno wpłacić 60 zł do Yacht Klubu „Orion” w Słupsku, Kolejowa 9 — „przysięmy natchmiast”. Wpłaciłem te pieniądze 4 lipca (cztery i pół miesiąca temu). Monitorowałem we wrześniu (dwa miesiące temu). Kamień w wodę. Ani legitymacji, ani odpowiedzi. Śmierć frajerom.

W lipcu Jumentur zorganizował na zlecenie Zw. Harcerstwa Polskiego piękną wycieczkę działaczy harcerskich na Krym. Mniejsza już o to, jak wyglądały — pożałuj Boże — informacje co do potrzebnych formalności, załączników, wpłat. Czysty tor przeszkód. Najbardziej denerwowało zdumienie coraz to innej paplanki. Jak to, to pan nie wie? Ano nie wiem, bo nikt nie potwierdził. Mniejsza. Polecono mi wpłacić 3.620 zł. Wpłaciłem. Potem poinformowano, że pomyłka, że 3.520 i że należy wystąpić o zwrot stu złotych. Wystąpiłem. Listem z czerwca adresowanym do Jumenturu w Warszawie (prawie pół roku temu). Kamień w wodę. Ani stu złotych, ani zlanego słowa. Monitorowałem we

wrzeźniu. Martwa cisza. „Jak to, to pan nie wiedział?” Nie, nie wiedziałem. Myślałem, że każdy urząd odpowiada na każdy list.

Kupiłem koszulę w branżowym sklepie przy ul. Głównej 33. Jest tajemniczą poliszynela, że cena świetnych koszul z produkcji Kalisza jest ceną typowo drenazową i nie stoi w żadnym stosunku do kosztów produkcji. Zapłaciłem prawie pół tysiąca, koszule są ponoć świetne. Po drugim praniu gąbka i proszkiem, dołączonym do koszul, w kotłowniku zrobiła się dziura. Wcale nie na zgięciu. Na samym froncie. Co zrobić, z takim pechem już się urodziłem. Złożyłem reklamację, przyjęto ją uprzejmie, do 12 października zalatwimy. Po piętnastym zacząłem dzwonić. Jeszcze nie. Jeszcze nie. Kalisz nie zalatwił. Raz poleciono mi dzwonić do Kalisza. Odmówiłem. Raz przeproszono. Byłem wzruszony, ale uzurzenie nie zastąpił koszul. Raz — drugiego listopada — oznajmiono: tak jest, zalatwiono, proszę przyjść. Poszedłem. Nie nie zalatwiono. Z kim pan rozmawiał przez telefon? — pytała miła sprzedawczyni. — Z magazynierem. — No właśnie. A on wyszedł, a pańska reklamacja wcale nie jest zalatwiona. Bardzo nam przykro...

Mnie też. Właściwie to mi wcale nie przykro, tylko zwyczajnie trafia mnie szlag. Oto, proszę państwa, dlaczego wszyscy do kupy nie mamy czasu, dlaczego zapisuje się całe pociągi papieru, dlaczego ganiamy wściekli na siebie po dziesięć razy za byle głupstwem, dlaczego czujemy się wścieknie zaważa, wrednym obcym ciałem, które przeszkadza, nic tu po nim, jakby go się tu pozbyć...

Dlatego, że niechlujstwo. Nie cofnę tego słowa. Może się wreszcie obrazi PTTK, Yacht Klub, Jumentur — może na złość wszystkim zalatwi raz jakąś sprawę tak, jak się należy?

CWIEK